Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WARSZAWA — Czerwiec-Lipiec — NR. 7-8

miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena egz. 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i Wydawca — KONSTANTY BOBOWSKI.

Redakcja i Administracja—Królewska 16. Tel. 2.18.14. Konto P.K.O. 1266

Administracja czynna codziennie od godz. 10—4 pp.

Redaktor przyjmuje we czwartki od godz. 5—7 pp.

Prenumerata roczna — 4 zł. Prenumerata półroczna — 2 zł

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa", Warszawa, Moniuszki 11.

Dr. ADAM PRÓCHNIK

Wybory

Zagadnienie systemu wyborczego nie jest zagadnieniem odrębnem. Osądzić jego istotne znaczenie można tylko w związku z całokształtem warunków politycznych. Ordynacja wyborcza stanowi rozwinięcie niektórych przepisów Konstytucji i tylko na tle Konstytucji nabiera ona barw życia. Takie czy inne zasady wyborcze interesują nas o tyle, o ile stanowią one wrota do wykonania takich czy innych funkcyj politycznych. Nad najpiękniejszymi przepisami wyborczemi, które regulują np. sposób wyboru władz Tow. Ochrony Zwierząt, nie będziemy się specjalnie zastanawiać. Natomiast najdrobniejszy szczegół, tam gdzie rozchodzi się o wybór pełnoprawnego przedstawicielstwa narodowego, odgrywa pierwszorzędną rolę. Ale musi być ono wtedy istotnie pełnoprawne. Rola wyborów zależy od tego jakich konsekwencyj oczekujemy od aktu wyborczego. Inaczej ustosunkujemy się do nich, jeżeli wiemy, że od nich zależy los, przyszłość i rozwój państwa, inaczej jeżeli ugruntowało się w nas przekonanie, że taki czy inny wynik wyborów nie będzie mieć bezpośredniego wpływu na kierunek naszego życia politycznego.

Pod tym względem stan rzeczy jest zupełnie jasny. Demokracją parlamentarną nie jesteśmy. Zasady rządów parlamentarnych zostały u nas uroczyście potępione. Wybory nie są drogą do władzy. Przy tej Konstytucji, która obowiązuje i przy tej rzeczywistości politycznej, która panuje, najidealniejsza ordynacja wyborcza nie pozwoliłaby żywić najmniejszej pod tym względem nadziei. Nie są wybory również drogą do przeobrażeń społecznych. Nie żywimy i w tej mierze złudzeń.

A jednak nawet w tych warunkach, które istnieją, nie uważamy wyborów parlamentarnych za rzecz obojętną. Nie jest

dla nas zatem również obojętny klucz do nich prowadzący — ordynacja wyborcza. Trzy momenty odgrywają bowiem dla nas rolę przy rozważaniu sprawy wyborów: 1) możność oddziaływania na los kraju, 2) możność korzystania z trybuny parlamentarnej dla publicznego i możliwie nieskrępowanego wypowiadania swej opinji, 3) możność udziału w akcie wyborczym, który jest aktem silnego poruszenia społeczeństwa i wyprowadzenia go ze stanu normalnej bierności i obojętności.

Pierwszy z tych momentów nie wchodzi w tej chwili w grę. Niewątpliwie zmniejsza to nasze zainteresowanie dla sprawy ordynacji wyborczej i wyborów. Ale pozostają dwa dalsze momenty. I póki choć jeden z nich istnieć będzie — sprawy wyborów nie możemy sobie lekceważyć. Polityka klasy robotniczej musi odznaczać się realizmem. Nie odrzuca ona żadnej broni, z której może mieć pożytek. Nie należy, rzecz prosta, wmawiać w siebie, jakoby zwyczajny rewolwer był armatą. Byłby to błąd o smutnych konsekwencjach. Ale byłoby niemniej błędem, gdybyśmy rewolwer dlatego, że nie jest armatą, odrzucili. Armaty, skoro jej tu nie znaleźliśmy, będziemy szukać gdzieindziej. A z rewolweru, swoją drogą, też korzyść mieć możemy. Nie jest on do pogardzenia.

Ale czy ta broń jest przynajmniej rewolwerem? Nie jest instrumentem służącym do zdobycia władzy. Niech tam! Ale czy jest choćby trybuną, z której rozlęgać się będzie donośnie nasze słowo? To zagadnienie stoi przed nami w tej chwili.

Zasady nowej ordynacji są znane. Sens ich jest niedwuznaczny. Z wyborców zdjęty został ciężar dokonywania wyboru swych przedstawicieli. Obowiązek ten przejmuje specjalna komisja, kolegjum, które przedłoży wyborcom odpowiednio spreparowany spis kandydatów. Wyborca będzie w położeniu gościa, któremu w trzeciorzędnej restauracyjce ofiarowują do wyboru: pieczeń baranią lub kotlet barani, ale tylko baraninę. Pozostają tylko dwie alternatywy: albo jeść baraninę, albo, jeżeli się jej nie znosi, — nie jeść wcale.

Kolegja wyborcze są tak skonstruowane, że kandydat socjalistyczny ma takie szanse dopuszczenia go do kandydowania, jak przysłowiowy wielbłąd do przejścia przez ucho igielne. Aby dostąpić tego, trzeba skupić conajmniej czwartą

część głosów kolegjum. W skład kolegjum wchodzą przedstawiciele izb handlowo - przemysłowych, rzemieślniczych, rolniczych, adwokackich, lekarskich. Ci nie budzą wątpliwości. Ich oblicze polityczno-społeczne jest łatwe do przewidzenia. A dalej przedstawiciele samorządu terytorjalnego. Dzięki znanym warunkom w całej Polsce są tylko dwa miasta, których samorządy mają socjalistyczną większość. W żadnym wypadku reprezentacje ich nie będą stanowić czwartej części kolegjum. Przedstawicieli do kolegjum wysyłają także związki zawodowe. Ale korzystać z tego będą tylko te oddziały związków, które w jednym okręgu i w jednej gałęzi pracy mają 500 członków, którzy nie zalegają ze składkami. Będą to wypadki niesłychanie rzadkie, które zachodzić będą przeważnie akurat tam, gdzie nie będzie socjalitycznych delegatów samorządowych. Chyba, że związki zawodowe zostaną „zglajchszaltowane“. Ale wtedy i posłowie będą „zglajchszaltowani“. Wreszcie do kolegjum grupy wyborców po 500 po rejentalnem stwierdzeniu ich podpisów, mogą wysyłać jednego przedstawiciela. Aby to mogło wpłynąć na decyzję kolegjum musianoby więc w jednym okręgu zebrać około 20 tysięcy podpisów i zapłacić za to rejentom 2000 złotych. Jest to coś znacznie gorszego od jawności wyborów. Wniosek więc jest jasny: socjalistyczny kandydat tylko w takim wypadku zdobędzie prawo kandydowania, jeżeli będzie chciał tego czynnik organizujący wybory.

Przypuśćmy, że te wszystkie przeszkody zostaną pokonane. Jedynym rezultatem tych wszystkich wysiłków będzie to, że socjalista będzie mógł kandydować, to co dawniej uzyskiwano przy pomocy podpisów 50 wyborców. Ale od kandydowania do wyboru droga jest jeszcze bardzo odległa. Na drodze tej znajdą się jeszcze dwie przeszkody: 1) metody wyborcze, 2) zniesienie zasady proporcjonalności. Pierwsza z tych przeszkód to czynnik nieobliczalny i niezależny od naszej woli. Będzie, jak zechcą. Przekreślenie zaś proporcjonalności uniemożliwia zwycięstwo w olbrzymiej większości okręgów. A jeżeli nawet w jakimś okręgu będzie to możliwe, zachodzi pytanie, czy właśnie w nim będziemy mieć swego kandydata. Wielbłąd będzie musiał więc dwukrotnie przecisnąć się przez ucho igielne.

Przyjęliśmy do wiadomości, że broń parlamentarna nie

jest u nas armatą. Niechby była choć rewolwerem, powiedzieliśmy sobie. Analiza ordynacji wyborczej, wykazała, że nie jest nim także. Parlamentaryzm nasz nie tylko nie jest drogą do władzy, nie jest także trybuną.

Pozostaje jeszcze trzeci moment. Nie mamy możności opanowania drogą parlamentarną rządów, nie możemy nawet wprowadzić do parlamentu kilku swych przedstawicieli, których głos rozbrzmiewałby szeroko, ale udział w samym akcie wyborczym posiada znaczenie agitacyjne. Manifestacja głosowania ma też swoje doniosłe znaczenie. Broń parlamentarna nie jest armatą, ani rewolwerem. Jeżeli jest chociażby kijem, chwyćmy za kij i walczmy nim.

Czy jest nim wszakże? Jeżeli nie ma się swoich kandydatów, nie można głosować. Przy najgorszej ordynacji, która pozbawia nawet miljony obywateli prawa wyborczego, można jednak głosować choćby bez nadziei przeprowadzenia swego kandydata, aby tylko skupić swoje głosy i odegrać czynną rolę w akcji wyborczej. Ale powszechne prawo głosowania bez możności zgłaszania swoich kandydatów, jest narzędziem nieużytecznem.

Tak jak biblijny Bóg uzależniał cofnięcie wyroku potępienia od znalezienia coraz to mniejszej ilości sprawiedliwych, tak i my byliśmy gotowi zająć pozytywny stosunek do parlamentaryzmu, choćby on był w naszej walce bronią najmizerniejszą. Od armaty zeszliśmy do rewolweru, od rewolweru do pospolitego kija. Ale nawet najskromniejsze nasze wymagania nie natrafiły na realny grunt. Jeżeli parlament — w obecnych, nowych warunkach — nie daje nam możności decydowania, przemawiania, ani nawet głosowania, jakaż wartość jeszcze pozostaje?

Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami zasadniczo idei bojkotu wyborczego. Dalecy jesteśmy od tego, aby po rozwianiu się wiary w wszechwładzę parlamentaryzmu skoczyć w drugą ostateczność i uznać go za zupełną nicość. Od złudzeń do lekceważenia jest tylko jeden krok. Nie żywiliśmy złudzeń, więc kroku tego nie zrobimy. Parlamentaryzm uważaliśmy zawsze za to, czem jest istotnie, za jedno z narzędzi walki, które stwarza pewne ograniczone możliwości. Dlatego też rozumowania naszego teraz nie zaciemnia bynajmniej gorycz rozczarowania. Nie mamy zawiedzionych pretensyj

do parlamentaryzmu, że nie jest takim, jakim go sobie wymarzyliśmy.

Ale zupełnie chłodny, spokojny rachunek, rachunek z ołówkiem w ręku, wykazał nam, że ten specjalny gatunek parlamentaryzmu, który nam zaprodukowano, nie daje żadnych szans walki, A oto przecież się rozchodzi. Nawet włoska koncepcja faszystowska stwarza większe możliwości. Można przynajmniej głosować: „nie“. Wedle polskiej koncepcji cała walka stoczy się nie na forum powszechnego głosowania, ale w zaciszu specjalnie spreparowanych kolegjów wyborczych. Jedyna możliwość — kandydatury socjalistyczne z uprzejmej łaski czynników decydujących i wedle ich doboru, nie jest dla klasy robotniczej do przyjęcia. Nic dla niej z mandatów rzuconych jej w postaci ochłapu ze stołu biesiadnego, gdzie inni ucztują. Wartość ma tylko mandat zdobyty w walce. Walka jest bowiem celem, nie mandat.

Cokolwiek obóz robotniczy postanowi, jedna rzecz nie może ulegać wątpliwości. Nie wolno nam propagować bierności! Rola nasza musi być zawsze czynną! Nakaz aktywności będzie tembardziej kategoryczny, jeżeli w głosowaniu w tych warunkach nie będziemy mogli uczestniczyć! Stosunek negatywny do wyborów ma tylko wtedy sens, jeżeli jest czynem.

OD ADMINISTRACJI

NASTĘPNY NUMER „LEWEGO TORU“, RÓWNIEŻ PODWÓJNY, ZA SIERPIEŃ I WRZESIEŃ UKAŻE SIĘ 1 WRZEŚNIA B. R. DALSZE — NORMALNIE.

ADMINISTRACJA.

ESBE

„Jutro znowu wojna"

Pod takim tytułem ukazała się przed paru laty książka niemieckiego dziennikarza, która przed zblazowanym pacyfistyczną frązeologją światem mieszczańskim postawiła dręczące widmo wojny. Książka narobiła trochę rwetesu, zamącenie jednak szybko minęło i życie potoczyło się dalej po wyboistych ścieżynach niezliczonych konferencyj, gdzie „wymieniano i uzgadniano" poglądy, sączyło się mdłym, coraz bardziej bezdźwięcznym frazesem z pastorskiej katedry Ligowej; zaufanie było coraz słabsze, wiara coraz bardziej rozcieńczona, odzew coraz bardziej głuchy.

Zagadnienie wojny stanęło w całej swej bezpośredniej grozie. W Europie pachnie krwią.

Musimy z ubolewaniem stwierdzić, że w obozie socjalistycznym, mimo solidarnie negatywnego ustosunkowania się do wojny, panuje w tym zakresie pewien rozgardjasz. Słyszy się nieraz, i to z ust nader poważnych, głosy, że wojna będzie zbawieniem ludzkości, spowoduje bowiem taki wstrząs dotychczasowych wiązadeł ustrojowych, taki zamęt w rządzącym obozie, że rewolucyjne zakończenie wojny będzie jedynem możliwem wyjściem z sytuacji, i wynikiem wojny będzie powszechne zwycięstwo socjalizmu. Tego rodzaju poglądy — niestety, nie rzadkie i niejednokrotnie omaszczone wysokim osobistym i hierarchicznym autorytetem ich autorów — są niesłychanie niebezpieczne dla kształtowania się świadomości socjalistycznej w stosunku do z szybkością orkanu nadciągających wydarzeń. Wynikają one z błędnej oceny.

Wojna, która nadciąga, pozostawiając na uboczu jej frazeologiczny pokost i koszarowy patos, będzie jednym z kulminacyjnych, może najbardziej gwałtownych w swej treści i fizycznem urzeczywistnieniu etapów walki klasowej. Wykładnikiem tego okresu walki jest faszyzm, który dotąd dusi pieniący swój nurt w ramach zbyt ograniczonego dla wziętego rozpędu łożyska.

Faszyzm jest najbardziej brutalnym przejawem przemo-

cy w okresie i atmosferze napiętych do krańca antagonizmów i konfliktów klasowych, które nabrały rewolucyjnego tempa. Z tego względu stanowi on moment zwrotny w najwyższem napięciu namiętności i zmagań walki klasowej, rozsadzającej społeczeństwa kapitalistyczne. Wojna jest i będzie transpozycją tejże walki klasowej na płaszczyźnie i w przekroju międzynarodowym, wykładnikiem fundamentalnej zasady socjalizmu o międzynarodowym charakterze, międzynarodowej spoistości wzajemnej współzależności zjawisk międzynarodowych.

Źródło wojennej fermentacji zogniskowało się w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy i skierowane jest w swej istocie przeciwko Z. S. R. R. To są dziś dwa bieguny wojennego napięcia, przyczem inicjatywa wojennej ekspansji ześrodkowana jest oczywiście w faszystowskich Niemczech.

Nie jest tu naszem zadaniem roztrząsanie pozytywnych zdobyczy proletarjatu w Rosji Sowieckiej i analizowanie poszczególnych zjawisk w życiu sowieckiem. Istnieją tam może niedociągnięcia i braki, popełniono błędy. To są nieuniknione konsekwencje wszelkiej zbiorowej pracy, i to prowadzonej z takim zamaszystym entuzjazmem, przechodzącym niejednokrotnie w jakąś zbiorową psychozę. Faktem jest niezaprzeczalnym, że na terenie $^1/_6$ wszechświata urzeczywistniona została władza proletarjatu, który buduje nowy ustrój, oparty na innych przesłankach społecznych, o odmiennej klasowej strukturze; najistotniejsze dziedziny życia ludzkiego uległy całkowitemu przeobrażeniu; wytwarza się nowy typ człowieka, prężą się nowe kulturalne pierwiastki, ujawniają się zręby nowych form współżycia społecznego, wypełnione odmienną treścią. To wystarcza, by wytryskujące nowe ognisko odmiennej cywilizacji stanęło wpoprzek faszystowskiemu prądowi przewagi klasowej kapitału, uosobionej w najbardziej dynamicznej formie w Niemczech.

Nawiasowo wspomnę tutaj o mniej więcej analogicznej sytuacji, jaka wytworzyła się w swoim czasie na podobnem tle pomiędzy faszystowskiemi Włochami a Austrją. Jest rzeczą notoryczną, że krwawa rozprawa z Czerwonym Wiedniem odbyła się pod auspicjami i z inspiracji Mussoliniego, on to zasilał i kierował siłami austrjackiej kontrrewolucji.

I aczkolwiek socjalizm austrjacki z całego szeregu przyczyn natury organizacyjnej, politycznej, a nawet psychologicznej, nie mógł rozwinąć tego rozmachu twórczego, tej dynamiki rewolucyjnej, która wstrząsnęła i rozkołysała terytorja dawnej Rosji, — to jednak powolny, acz połowiczny mozół socjalistów austrjackich, wywoływał silne napięcie w faszystowskich Włoszech i Węgrzech.

To też w wyniku kontrrewolucji faszystowskiej Włochy i Węgry zyskały na dokonanem utrwaleniu własnych łożysk i fundamentów ustrojowych, utrwaleniu wpływu swego kapitału na ściśniętym zresztą rynku austrjackim, a przedewszystkiem — zabezpieczeniu wewnętrznej przemocy klasowej i stabilizacji reżymu, m. in. przez pogłębienie depresji wśród klasy robotniczej. Kwestja szyldu partyjnego jest zagadnieniem zgoła wtórnem i unaocznia raczej proletarjatowi istotę wspólności celów klasowych i potrzebę wewnętrznej koordynacji i organizacyjnej spoistości jego ruchów zbiorowych, ujęcia we wspólne łożysko walki jego zbiorowego klasowego instynktu samozachowawczego i potencjalnych możliwości przyszłościowych (patrz art. Próchnika „Zagadnienie jedności“ w Nr. 1 „Lewego Toru“).

Zostało gdzieś powiedziane, że faszyzm zostanie zniszczony przez te siły i czynniki społeczne, które do życia go powołały, a zostały rozczarowane treścią rzeczywistej jego władzy, będącej wykładnikiem ściśle określonych wielkokapitalistycznych grup i interesów klasowych, — a więc przez spauperyzowane drobnomieszczaństwo we wszelkich jego odmianach, broniące się przed niwelacją klasową, shisteryzowaną inteligencję, zdławioną przez kryzys i rozhuśtaną przez demagogiczną tromtadrację szowinistyczną i część klasy robotniczej, skorumpowanej i spróchniałej wskutek chronicznego bezrobocia, — jest to połowiczna prawda. Rzeczywistość jest raczej odwrotna: faszyzm zamierza zniwelować i pochłonąć te właśnie siły, roztopić je w pożodze wojennej. Jedynie wojna będzie wyjściem ze stanu chronicznego bezrobocia, napiętej do najwyższego maksimum frazeologji nacjonalistycznej. Dlatego też najostrzejszem źródłem konfliktu jest faszyzm i to faszyzm najbardziej napęczniały od rozsadzających go przeciwieństw klasowych — hitleryzm.

Mamy dziś dwa główne ośrodki konfliktu, dwa ogniska tężejącej propagandy wojennej i drapieżnego imperjalizmu: Japonja i Niemcy. Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, że ostrze ich pożądliwości imperjalistycznej jest skierowane przeciwko Sowieckiej Rosji. Zagadnienie ekspansji imperjalistycznej, rozszerzenie rynków eksportu, utworzenie Hinterlandu gospodarczego, terenów kolonizacyjnych i ośrodków taniego i łatwego surowca — jednem słowem bezpośrednie interesy kierujących sfer gospodarczych, oddziaływujących w sposób decydujący na kształtowanie się linji państwowej ekspansji — odgrywają niewątpliwie doniosłą rolę. Ale postawmy sobie na chwilę pytanie, czy, gdyby na terytorjach Rosji rządził faszyzm w takiej czy innej swej politycznej odmianie, czy stosunki niemiecko-rosyjskie kształtowałyby się w tak nieprzejednanie wrogim kierunku, jak to ma miejsce dziś, wyciskając piętno przecież decydujące na ukształtowanie się obrazu całej sytuacji międzynarodowej. Czy sprzeczności klasowe między Rosją , gdzie przewaga klasowa proletarjatu znalazła swój bezpośredni wyraz we władzy państwowej, a Niemcami, gdzie ruch robotniczy został fizycznie zmiażdżony, a państwo stało się domeną monopolistycznego władania wielkich karteli przemysłowych, nie odgrywają roli decydującej w nastawieniu polityki Niemiec w stosunku do Rosji? Czy właśnie ten stan rzeczy nie wykazuje, że wykładnikiem stosunków niemiecko - sowieckich, nabrzmiałych bezpośrednią grozą wojenną, nie jest zagadnienie walki klasowej, którą faszyzm niemiecki w swym kraju rozstrzygnął w sensie dla siebie pozytywnym, ale którego stan posiadania jest zawsze podważony przez istnienie i wewnętrzne spajanie się państwa sowieckiego, opartego na wręcz odmiennych podstawach społecznych. Międzynarodowa łączność i współzależność zarówno zagadnień i rozwiązań gospodarczych, jak i falowań i tętna ruchu robotniczego — stanowi tu jeszcze dodatkową podnietę dla faszyzmu. Walka klasowa wewnątrz społeczeństw kapitalistycznych nie została zakończona przez zwycięstwo faszyzmu w odnośnych krajach, póki istnieje Rosja Sowiecka. W tem też mieści się głęboki sens i powszechne niebezpieczeństwo dla proletarjatu każdego kraju, wszelkich — w tej czy innej postaci — interwencyj zbrojnych, skierowanych przeciwko Sowie-

tom; ich zniszczenie byłoby ukoronowaniem, zamknięciem pewnego okresu walki klasowej przez faszyzm na rzecz kapitału międzynarodowego. Wpływy i nacisk interesów różnych Deterdingów są potwierdzeniem i wykładnikiem wyłuszczonej tezy. To też wszelka wojna w jakiejkolwiek formie, wymierzona przeciwko Związkowi Sowieckiemu, niezależnie od takiego czy innego ustosunkowania się do metod wewnętrznego budownictwa i organizacji życia społecznego w Rosji — winna spotkać się z najbardziej zdecydowanem przeciwdziałaniem całego proletarjatu — jako wymierzona bezpośrednio przeciwko jego życiowym i bezpośrednim interesom klasowym.

Powstać może zapytanie: dlaczego w takim wypadku — jeśli dojrzewający konflikt światowy ma tak wybitne podłoże i treść klasową — widzimy, że cały szereg państw kapitalistycznych szereguje się raczej przeciwko Niemcom, a nie za nimi, czyli objektywnie — po stroni eraczej Sowietów. Odpowiedź nie jest bynajmniej skomplikowana. Konklasową treść i istotę. Są one wykładnikiem walki klasowej, przeniesionej na płaszczyznę konfliktu międzynarodowego. Ale to nie wyczerpuje w całości zagadnienia. Imperjalizm współczesnych państw kapitalistycznych, osłabiony wdrążoną weń zatrutą drzazgą kryzysu, jest tak nabrzmiały wewnętrznemi sprzecznościami, tak wewnętrznie rozdarty przez głębokie kryzysowe niedomagania poszczególnych krajów, tak spięty często i pętami własnej, lekkomyślnie podsycanej demagogji i rozhukanemi apetytami imperjalistycznemi, — że uszeregowanie się jego we wspólnym froncie klasowym jest rzeczą poprostu fizycznie niemożliwą. Rozpęd i demagogja rasistowska i nacjonalistyczna Niemiec, pangermańska psychoza, która oszołomiła wielkie masy społeczne, nie mogą zahamować Anschluss'owych tendencyj Hitlera, a co za tem idzie, ich penetracji w kierunku południowym i południowo-wschodnim. I tu znów następuje zazębienie z interesami imperjalnymi Włoch, które czują się zagrożone w swej zastrzeżonej sferze wpływów — w basenie Morza Śródziemnego — Adrjatyku i wybrzeżu Bałkańskiem. Zaostrzenie i napięcie antagonizmów z Francją nie wymaga nawet bliższych wyjaśnień. Kwestja Alzacji, Lotaryngji,

Stąd luki i wyrwy we wspólnym froncie klasowym. Nie można lekceważy i nie brać pod uwagę również i sub-

jektywnego momentu, jak nacisku, wywieranego przez klasę robotniczą, szczególniej w krajach demokracji politycznej — głównie we Francji, — uniemożliwiającego wyrównanie kapitalistycznego frontu klasowego. To są dodatkowe momenty, powodujące szczerby i osłabienia jednolitej akcji państw kapitalistycznych. Nie osłabia to jednak naszej zasadniczej tezy przewodniej, że groza wojny, jaka zawisła obecnie nad światem, ma za swe źródło poza drążącemi i wikłającemi się sprzecznościami wewnętrznemi państw kapitalistycznych — przeniesienie zagadnienia walki klasowej na płaszczyznę międzynarodową. Jest to życiowa i bezpośrednia konsekwencja współczesnej formy władzy kapitalistycznej — faszyzmu. Natężenie walki klasowej wewnątrz społeczeństw kapitalistycznych jest sprawdzianem nasilenia zewnętrznej ekspansji faszyzmu.

Trzeba w tem miejscu z ubolewaniem zaznaczyć, że brak wewnętrznej spoistości w Międzynarodówce, oszołomienie poszczególnych jej członków przez koncepcje t. zw. reformistyczne, doprowadzają w różnych krajach do wprzągnięcia partji socjalistycznej do rydwanu antyproletarjackiej w istocie rzeczy polityki ich własnych, kapitalistycznie przecież rządzonych, państw i za cenę, mniej lub więcej, pozornej penetracji do aparatu władzy — do przytępienia ich polityki klasowej. Przykłady działania angielskiej Labour Party i niektórych innych, które w swej polityce wewnętrznej, a szczególniej w międzynarodowej, nie ujawniają należytego zrozumienia dla niszczącej w skali ogólnoświatowej siły faszyzmu, jako huraganu reakcyjnego zamętu i źródła wojny — są niestety aż zbyt wymowne. Ten naiwny i zasklepiający się w ramach krajowego podwórka oportunizm wydać może owoce straszliwe. Faszyzm na żadnym terenie i w żadnym przekroju nie może być równouprawnionym kontrahentem jakiejkolwiek organizacji proletarjackiej.

Przed ludzkością, zagrożoną przez pożogę i powszechną rzeź, przed kulturą ludzką, stojącą w obliczu zupełnej bezlitosnej zagłady, przed Człowiekiem, obezwładnionym paraliżem jego najbardziej istotnych dóbr, przed klasą robotniczą, klasą przyszłości, wyniszczoną przez nędzę i głód, przetrzebioną przez obłąkaną demagogję, wewnętrzne rozterki i bezlitosny kryzys — stoi zagadnienie — jasne, wyraźne, jak słup ognisty: faszyzm — oto wróg.

LEON KRUCZKOWSKI

U źródeł nacjonalizmu*)

Prof. Bystronia zaliczyć trzeba do rzędu tych — według jego własnego wyrażenia — „pogrobowców chrystjanizmu, którzy ukochali kulturę idealistyczną". W istocie, z idealistycznego wyłącznie stanowiska rozpatruje on, w swem studjum o „Megalomanji narodowej" tworzenie się, rozwój historyczny, stan obecny i przyszłe perspektywy nacjonalizmu. Jest to, w najlepszym razie, połowiczne traktowanie zagadnienia. Niewątpliwie słusznie zarody nacjonalizmu dostrzega prof. Bystroń w najmroczniejszej przeszłości dziejów — w instynktach i popędach pierwotnej hordy ludzkiej, plemienia czy klanu; niewątpliwie słusznie wskazuje na atawistyczną ciągłość tych instynktów i popędów, nieprzezwyciężonych bynajmniej przez chrześcijanizm, na ich doniosłą rolę uczuciowego podłoża nowożytnych nacjonalizmów różnej maści. Na tem też jednak, niestety, poprzestaje: na omówieniu irracjonalnych elementów „megalomanji narodowej", oraz jej „teoretycznej" nadbudowy; nic dziwnego, że pesymistycznym akordem kończy swoje studjum tytułowe, dalszą część książki poświęcając demonstracji bogatego, głównie etnograficznego, materjału z zakresu psychologji szowinizmów grupowych, plemiennych i lokalnych.

Ta połowiczność w traktowaniu samego zagadnienia nacjonalizmu wynika z idealistycznego ujmowania rzeczy. Prof. Bystroń ani jednem słowem nie dotyka społeczno-ekonomicznej treści problemu. Rudymenty uczuciowo-popędowe w „megalomanji" plemiennej czy narodowej są bardzo istotne, lecz ich znaczenie zmniejsza się coraz wydatniej w miarę rozwoju struktury społeczeństw, w miarę, jak oddalamy się od stadjów pierwotnych, naturalnych, w kierunku czasów nowożytnych. Rośnie natomiast, równolegle do tego rozwoju, coraz wyraźniejsza rola czynników poza-uczuciowych: socjalnych i gospodarczych, których działanie w mechaniźmie nowoczesnych nacjonalizmów jest już chyba aż nadto widoczne, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę fazę

*) (*Jan St. Bystroń: Megalomanja Narodowa. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój". Str. 268*).

szczytową „megalomanji narodowej": imperjalizm. Trudno nie widzieć w ostatniej wojnie światowej najistotniejszych jej sił dynamicznych: ekonomicznych imperjalizmów, dla których krwawe opary nienawiści plemiennych były w gruncie rzeczy systemem przesłon dymnych, świetnie reżyserowanych przez specjalistów od „megalomanji narodowej". Trudno dziś mówić np. o hitleryźmie jako o zjawisku obłędu masowego, opartego na przesłankach mistyki rasowo - narodowej, skoro ten „obłęd", sfinansowany ciężkiemi pieniędzmi przez baronów przemysłowych, ma aż nazbyt przejrzysty, na chłodno skalkulowany i bardzo konkretny sens społeczno-polityczny, zarówno w skali wewnętrzno-niemieckiej, jak i międzynarodowej.

Jak idealistyczne wyłącznie pojmowanie rzeczywistości społecznej nie daje badaczowi naukowemu możności gruntownego jej oświetlenia, tak samo idealistyczne doktryny przebudowy tej rzeczywistości okazywać się muszą bezsilne i mało skuteczne w działaniu. Mam tu na myśli doktrynę pierwotnego chrystjanizmu. Zupełnie słusznie prof. Bystroń przeciwstawia uniwersalistyczną tę koncepcję — ponurej dżungli uczuć nacjonalistycznych. Trudno też zaprzeczyć mu, gdy stwierdza — między wierszami — bankructwo tej koncepcji w życiu Europy współczesnej. Nie może jednak zadowolić nas taka stwierdzenia powyższego motywacja:

„Ideały, które chrystjanizm głosił, były zbyt doskonałe, zbyt odległe, aby mogły być urzeczywistnione na tej ziemi".

Nie podzielam bynajmniej pesymizmu prof. Bystronia. Mojem zdaniem, uniwersalistyczny ideał ludzkości, wolnej od szaleństw nacjonalizmów, może być urzeczywistniony „na tej ziemi". Nie dokonał tego — i nie dokona — chrystjanizm, właśnie dlatego, że jest doktryną idealistyczną, opartą na negacji materjalnych czynników rozwoju społecznego, a nawet na pogardzie dla nich — na konsekwentnej abstrakcji celów ludzkich, oderwaniu ich od „padołów ziemskich", a przerzuceniu w krainę „wieczności". Doktryna, tak krańcowo spirytualistyczna, wroga wszelkiej „doczesności", kładąc nacisk główny na sprawę „doskonalenia się wewnętrznego" *jednostek*, nie mogła stać się skutecznem narzędziem przeobrażania *społeczeństw* ludzkich, nurtowanych prymitywne-

mi instynktami zoologicznych wrogości plemiennych — przeobrażania ich w duchu uniwersalistycznych ideałów. Jakoż, nie stała się tem narzędziem, mimo, że na długi szereg wieków opanowała niemal powszechnie umysły narodów europejskich. Co więcej: na chrześcijańskich właśnie podstawach oparta kultura Europy wyhodowała w XIX wieku najbardziej „udoskonalone", ideologicznie i „naukowo" najpełniej rozbudowane systemy nacjonalizmów; a chrześcijaństwo i jego instytucje — kościoły odegrały wybitną rolę w kształtowaniu się tych systemów, użyczając im „nadprzyrodzonych" sankcyj. Uniwersalny Bóg pierwotnego chrystjanizmu, opanowawszy Europę, rozszczepił się na licznych Bogów narodowych. „Z łaski bożej — stwierdza prof. Bystroń — panowali królowie, w imię boże zaczynano wojny i prowadzono je pod kierownictwem bożem". Inaczej być nie mogło. Im wznioślejsza, im bardziej oderwana od rzeczywistości społecznej idea, tem lepiej się nadaje do ozdobienia najmniej wzniosłych interesów, tem chętniej bywa przystosowywana do użytku właśnie społecznego, dla celów, nieraz biegunowo jej przeciwnych.

Mimo wszystko, jest pewna granica, poza którą harmonijna symbioza współczesnego chrześcijanizmu z nacjonalizmem wyjść nie może bez narażania się na ostre konflikty wewnętrzne. Powojenny rozwój nacjonalizmów — wyraz zaostrzających się coraz przeciwieństw społecznych — osiąga ostatniemi czasy, w faszyzmach, swoje apogeum w rozmiarach tak wybujałych, że — w niektórych zwłaszcza krajach — grozić zaczyna nawet tym „stosowanym" formom chrześcijanizmu, które do wczoraj jeszcze były jego sojusznikiem, lecz w których bądź co bądź utrzymały się po dziś dzień jakieś ślady tendencyj uniwersalistycznych (zwłaszcza w katolicyźmie). Konwulsje nacjonalizmu w jego faszystowskiej fazie, będące w gruncie rzeczy ostateczną, rozpaczliwą próbą przeciwdziałania rosnącej wskutek kryzysu fali międzynarodowego ruchu robotniczego — nie oszczędzają także i tych szczątkowych resztek pierwotnego chrystjanizmu, które się przechowały na dnie dotychczasowej kultury chrześcijańskiej. Trafne antycypacje w tym kierunku znaleźć możemy w studjum prof. Bystronia, które — napisane wszak w roku 1924 — dzisiaj dopiero nabiera wyrazistej aktual-

ności, chociażby w świetle tego, co się dzieje w Niemczech. Antychrześcijański rasizm, deifikacja narodu, prądy neopogańskie, walka z kościołami, zarówno protestanckim, jak i zwłaszcza katolickim — to są logiczne konsekwencje szczytowe nacjonalizmu, do którego rozwoju chrześcijanizm oficjalny w niemałym stopniu się przyczynił, sprzymierzając z nim wszędzie swe instytucje przeciw — *socjalizmowi*)*.

A właśnie o socjalizmie zapomniał prof. Bystroń w swem studjum. Ograniczając się do dylematu: nacjonalizm — chrystjanizm, dochodzi ostatecznie do kompromisu między nacjonalistyczną „rzeczywistością“, a chrześcijańskim „ideałem“, konkludując, że „w przeciwnym razie grozi nam albo abnegacja życia, albo też jego zupełna barbaryzacja“. W istocie, czysty chrystjanizm oznacza „abnegację życia“, jest doktryną samobójczą dla rozwojowych sił człowieka. Prawdą jest również, iż „rzeczywistość“ nacjonalistyczna, konsekwentnie rozbudowywana, przy dzisiejszych środkach materjalnych i technicznych, prowadzi nieuchronnie do zagłady społeczeństw cywilizowanych, do barbaryzacji życia. Ale — czy kompromis, proponowany przez prof. Bystronia, jest możliwy? Wszystko wskazuje na to, że od tej możliwości oddalamy się raczej — i to w błyskawicznem tempie. Dylematowi: nacjonalizm — chrystjanizm, przeciwstawić należy, jako „tertium datur“, — socjalizm, doktrynę, nie idealistyczną, jak chrystjanizm, ale stawiającą *ideał* wyraźny i mocno ugruntowany w realnych siłach rozwojowych ludzkości. Doktrynę bardziej narodową, niż nacjonalizm, bo nie rzucającą narody przeciw narodom, ale postulującą sprawiedliwość społeczną i pełnię życia kulturalnego dla najliczniejszych, pracujących mas narodu; doktrynę, równie uniwersalistyczną, jak chrystjanizm, bo opartą na mię-

---

*) W Polsce obserwujemy wciąż jeszcze fazę niezmąconej symbiozy nacjonalizmu z „chrześcijanizmem“. Furja, z jaką endecki publicysta p. Z. Wasilewski, rzucił się w swoim czasie na studjum Bystronia, rozpatrujące „megalomanję narodową“ ze stanowiska *integralnego chrystjanizmu* — demaskuje najlepiej potworne zakłamanie wewnętrzne naszych „narodowców“ i patentowanych *zarazem* rzeczników „chrześcijaństwa“. Ci panowie zdają się nie wiedzieć o tem, że zoologiczny instynkt „egoizmu narodowego“ nie należy do żadnej z cnót ewangelicznych. Bezstronność nakazuje przyznać, że hitlerowscy neo-poganie są od nich znacznie szczersi i konsekwentniejsi...

dzynarodowej tych mas solidarności i współpracy. Międzynarodowość socjalizmu bynajmniej nie koliduje z rozumnie pojmowanemi interesami narodowemi — wręcz przeciwnie, usuwając antagonizmy zewnętrzne, absorbujące dzisiaj znaczne ilości energji narodów, wyzwoli tę energję i skieruje ją ku najistotniejszym, kulturo-twórczym działaniom wewnętrznym. Że tam nie będzie miejsca na „megalomanję narodową", o to możemy być spokojni.

Chyba, że przedtem rozwój współczesnych, po zęby uzbrojonych nacjonalizmów zaskoczy nas katastrofą: wtedy niezmiernie aktualną stałaby się groza już nie „barbaryzacji", ale — kto wie? — może ogólnej i całkowitej zagłady życia i cywilizacji w Europie.

P. S. Kapitalnym przyczynkiem do „Megalomanji narodowej" jest zamieszczony swego czasu w tygodniku „Prosto z mostu" (Nr. 3) artykuł p. Jana Korolca p. t. „Czy słowo zaklęcia będzie wypowiedziane po polsku". W artykule tym p. Korolec omawia książkę o faszyzmie włoskim, wydaną przed kilku laty przez hitlerowca Waltera Heinricha. Oczywiście, nazistowski socjolog z wielką sympatją odnosi się do italskiego pra-wzoru faszyzmów; uważa jednak, że nie jest on jeszcze „ostatniem słowem" w tym kierunku, owem „cudownem zaklęciem", które ma uratować „całą Europę" i „ukształtować świat na nowy sposób". Rzecz prosta, to „cudowne zaklęcie" zostanie — zdaniem Heinricha — „powiedziane po niemiecku (było to w okresie dochodzenia Hitlera do władzy).

Naturalnie, nasz p. Korolec jest innego zdania. W zakończeniu swego artykułu przyznaje wprawdzie Heinrichowi, że ‚cudowne zaklęcie", mające zbawić ludzkość, nie zostało wypowiedziane „po włosku", zaprzecza jednak zarazem, jakoby ono miało być wyrzeczone „po niemiecku" — wierzy natomiast, że „słowo-hasło" będzie ostatecznie sformułowane „po polsku"! Krótko mówiąc: niezły jest faszyzm włoski, jeszcze lepszy (bo z antysemityzmem) — niemiecki, ale najlepszy, najdoskonalszy będzie nasz, endecki.

M. BAUMGART

Szlachetne marzenia o kooperacji pracy

Czytaliśmy na ławach szkolnych „podniosłe“ i „budujące“ powieści dla młodzieży, w których szlachetność, pracowitość bez granic i entuzjazm niczem nieskrępowany młodocianego bohatera, czy bohaterki szły ze sobą w zawody, aby w zakończeniu książki postawić go na niedościgłej wyżynie umysłu i serca. Te dawne, dobre czasy stają żywo w pamięci, gdy dziś, w siedemnastym roku od ukończenia wielkiej wojny światowej, a w okresie intensywnych przygotowań do nowej wielkiej wojny, w czasie potężnych, katastrofalnych wstrząsów, którym ulega na całym świecie ustrój społeczno-gospodarczy kartelowego i imperjalistycznego kapitalizmu — powstaje w Polsce specjalna organizacja i prezentuje nam nowe pismo, zalecające jeden uniwersalny środek na zło społeczne naszych czasów — kooperację pracy. Mam tu na myśli „Spółdzielczość Pracy“, miesięcznik, żywo i starannie redagowany przez Jana Wolskiego, którego ukazały się 2 pierwsze zeszyty (kwiecień i maj 1935 r.).

Wkraczamy z pismem tem w świat nowej społecznej sielanki, do której tęskni grupa marzycieli za wszelką cenę. Stają oni na rozdrożu wielkich walk społecznych i aktualizują na swój sposób stare, a nieprzemijające hasło. „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna“. Zrzeszy się pracownik polski, zgrupuje w spółdzielnie pracy, do których potrosze już go zaprawiają nasze obozy pracy dla młodzieży. Trzeba tylko więcej wytrwałości, więcej dobrej woli, a wyrośnie stąd nowy ustrój społeczny, który oprze się wszelkim przeciwnościom. Wszystko to jasne, proste i niewątpliwe, — aż dziw, że tak późno, dopiero w 1935 r., prawda ta w całym swym blasku ukazała się polskim umysłom. Prozaiczniej rzecz tę ujmując, grupa ta odcyfrowała jedną literę wielkiego abecadła społecznego, literę, oznaczającą żywą, istotną potrzebę grupy pracowniczej wpływania na kierownictwo procesu pracy, który grupa ta spełnia, — *a o wszystkich pozostałych literach abecadła tego i o ich kolejności słyszeć nie chce.*

Nie bądźmy jednak gołosłowni, ani ogólnikowi i przypatrzmy się bliżej poszczególnym kanonom tej nowej wiary.

„Zrzeszając pracowników jednego fachu, czy też kilku pokrewnych fachów" — pisze autor programowego artykułu „Detaliczna czy hurtowa sprzedaż pracy"? w Nr. 2 „Spółdzielczość Pracy" — „spółdzielnie pracy będą zawierały z poszczególnym pracodawcą, potrzebującym siły roboczej do wykonania określonej ilości pewnych przedmiotów, czy też do wykonywania określonych czynności, *umowę handlową na zbiorowe wykonywanie tych czynności po zgóry umówionej cenie.* Taka spółdzielnia nie będzie polecać tego czy innego pracownika, natomiast sama będzie się podejmować wykonania zbiorowej określonej pracy. Będzie występować jako *hurtowy sprzedawca zbiorowej zorganizowanej siły roboczej podług zgóry określonych warunków, wymienionych w zawartej umowie*".

Jakie zaś będą następstwa tego nowego systemu? „Przy indywidualnym najmie pracowników (detalicznem nabywaniu siły roboczej), pracodawca ma liczne kłopoty i trudności. A więc: rozdrobniona wypłata robocizny i opłata świadczeń społecznych, nadzór nad wykonywaniem pracy przez poszczególnych robotników, załatwianie konfliktów na tle najmu pracy, ryzyko strat, poniesionych na skutek takich konfliktów i t. d. Tego wszystkiego musi pracodawca uniknąć... zawierając odpowiednią umowę ze spółdzielnią".

„Niemniej korzystną jest dla pracowników hurtowa sprzedaż ich siły roboczej za pośrednictwem spółdzielni pracy... Zapewnia pracownikowi niezależność od pracodawcy, gdyż każdy z członków spółdzielni staje się pracownikiem i pracodawcą dla samego siebie. Pozatem pracownik... będzie mógł osiągnąć dla siebie lepsze warunki, niż gdyby występował wobec zarobkodawcy jako indywidualny najemnik".

„Gdy charakter danej produkcji jest bardziej złożony.. czemu pojedyńcza spółdzielnia pracy może nie podołać, powinna występować federacja tych spółdzielni, organizując i dostarczając pracodawcom złożone zespoły pracownicze".

Wszystko to — z powołaniem się na znanego francuskiego liberalnego ekonomistę Ives Guyot'a — ma dziać się w Polsce, dziś, t. j. w 1935 r. i w latach najbliższych, w okresie bezro-

bocia miljonów, z którem w granicach kapitalistycznego ustroju gospodarczego nikt się uporać nie może.

Jeżeli ma to być umowa dwuch stron — pracodawcy i pracowników, zrzeszonych w spółdzielnię pracy, to przedewszystkiem *obydwie strony muszą chcieć takiej umowy.* Czy wszakże pracodawca pracujący dla zysku, a mający tyle kłopotów z poszczególnymi pracownikami, będzie wolał zamiast nich spółdzielnię pracy, jako jednego kontrahenta? O ile rzeczywiście taka spółdzielnia daje grupie pracowniczej mocniejszą pozycję wobec pracodawcy, narzuca mu wyższe zarobki, nie pozwala na daleko sięgający wyzysk siły roboczej, — to oczywiście te jej właściwości dyskredytują ją dla pracodawcy. Kłopotów z administracją pracy przy większej ilości pracowników prywatny pracodawca pozbywa się skutecznie w inny sposób, bez uciekania się do spółdzielni pracy. Bierze w tym celu kierownika, majstra albo też subantreprenera, pracującego na swój rachunek za pewne ryczałtowe wynagrodzenie i jego już rzeczą jest utrzymać cały personel pracowniczy w karbach, zapobiec wszelkim możliwym sporom i trudnościom i kierować nim tak, aby koszt robocizny był możliwie najmniejszy. Taki kierownik, majster czy subantreprener — to człowiek, znany pracodawcy osobiście, pewny, nieraz majątkowo odpowiedzialny. Z reguły będzie pracodawca wolał zdać na niego ciężar kierownika, któremu sam podołać nie może, niż wdawać się ze spółdzielnią pracy, — grupą, której zobowiązanie jest skuteczne w zależności od wielu różnorodnych wyników (skład indywidualny grupy, jej kierownictwo, jej spójność przy możliwości odrywania się poszczególnych członków od niej, zwłaszcza członków z lepszemi kwalifikacjami fachowemi).

To też gdy Ives Guyot i inni przed 30-tu i 40-tu laty popierali spółdzielczość pracy, w warunkach daleko korzystniejszych, niż obecnie, gdy nie było miljonowego bezrobocia i siła robocza, zwłaszcza wykwalifikowana, była daleko cenniejsza niż obecnie, spółdzielnie pracy utrzymywały się na powierzchni przez czas dłuższy *tylko w warunkach wyjątkowych,* gdy chodziło o szczególnie, wyjątkowo zgrane ze sobą zespoły pracownicze najwyżej wykwalifikowane, natrafiające na odrębnego, wybitnie uspołecznionego praco-

dawcę. Bywały to brygady drukarskie, prowadzące za cenę ryczałtową drukarnie, należącą do instytucji robotniczej i t. p. rzadko napotykane formacje.

Czy zwłaszcza u nas w Polsce, gdzie siła robocza jest tak tania, gdzie związki pracownicze wzajemnie ze sobą konkurują, a więc pracodawcy bardzo dogodnie jest układać się właśnie z pracownikami — są rzeczywiście widoki rozwoju spółdzielczości pracy *w prywatnym przemyśle czy handlu?* Czy propaganda spółdzielczości pracy w obecnych warunkach gospodarczych i społecznych — jako rozwiązania społecznego *na chwilę dzisiejszą, bez zmiany ustroju społeczno-gospodarczego, w którym żyjemy,* — nie jest szerzeniem złudzeń, na które umysły mało krytyczne mogą być podatne? To też i sami propagatorzy tej idei, liczący na jej urzeczywistnienie w obecnych naszych stosunkach, zdaje się nie wierzą, by u *prywatnych pracodawców mogła ona znaleźć szersze zastosowanie.* I w przytaczanym powyżej artykule dodają oni na zakończenie: „sprawa przejścia od systemu detalicznego powinna *zwłaszcza zainteresować czynniki państwowe, samorządowe i wogóle publiczne,* dla których konieczny nieraz rozwój aktywności łączy się w sposób niewolniczy (przy dotychczasowym systemie indywidualnego najemnictwa) z przerostem biurokracji“.

W państwach, rządzonych demokratycznie, w których masy pracujące zdobywają coraz większy wpływ, i zmierzają do nadania całemu życiu gospodarczemu i publicznemu cech uspołecznionej gospodarki, możnaby mówić poważnie o wysuwaniu tego rodzaju postulatu w przedsiębiorstwach państwowych i samorządowych, w spółdzielniach i t. p. już w stosunkach społecznych obecnych. Tam bowiem, niektóre, zwłaszcza wyżej kwalifikowane grupy, pracownicze, mogą wymagać, by z niemi szczególnie liczono się przy kształtowaniu ich stosunków pracy, a z drugiej strony dla pracodawcy — dzięki swemu znaczeniu społecznemu i wyrobieniu organizacyjnemu — grupy takie w wyższej mierze mogą dawać rękojmię, że spełnią należycie swe zobowiązania i lepiej traktować z niemi bezpośrednio, bez pomocy odpowiedzialnych kierowników, majstrów, subantreprenerów i t. p.

Czy jednak u nas, w gospodarce publicznej — państwa, samorządów, ubezpieczalni publicznych — pracownicy ma-

ją szczególny wpływ i znaczenie? Czy ci właśnie pracodawcy, którzy najbezwzględniej dobierają sobie pracowników według swego upodobania i dogodności, nie licząc się bynajmniej z ich wartością zawodową, moralną, długotrwałością pracy na stanowiskach, którzy nie znoszą pod względem doboru personelu żadnego skrępowania i sami wydają dla siebie przepisy i regulaminy służbowe na podstawie których mają kształtować się stosunki ich z pracownikami, — będą chcieli mieć do czynienia nie z każdym pracownikiem indywidualnie, ziarnkiem piasku, który każdy wiatr unosi, lecz ze spółdzielnią pracy *o własnym zawodowym autorytecie i o odporności na żądania, nie licujące z postulatami i z godnością jej członków?* Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie nie może nastręczać żadnych trudności.

Istnieje dziś poważniejsza grupa, która wysuwa postulat pokrewny spółdzielczości pracy, jako swe aktualne hasło. Są to lekarze w stosunku do ubezpieczalni społecznych, którzy chcą, aby Związek ich leczył pacjentów ubezpieczalni za pewne ryczałtowe wynagrodzenie, które Związek ten rozdzieliłby następnie pomiędzy swych członków-lekarzy. Bardzo wątpliwe jest, czy ten postulat zostanie w obecnych stosunkach uwzględniony, a gdy nawet został w pewnej postaci urzeczywistniony — powstaje kwestja, czy taka spółdzielnia pracy lekarskiej będzie *swobodnie utworzoną grupą zawodową, zrzeszającą się na podstawie własnej woli współpracy,* czy nie będzie to raczej grupa *o składzie zakreślonym z zewnątrz, przez jej publicznego, monopolistycznego pracodawcę?* A nadto, czy takiej grupie powierzonoby *całe kierownictwo fachową działalnością lekarską w ubezpieczalni,* jak tego wymagałyby zasady spółdzielczości pracy?

Te same zastrzeżenia, wynikające z ogólnego układu stosunków społecznych i politycznych, dotyczą spółdzielni, jako pracodawców i czynnych w nich rewidentów-instruktorów, którzy w pewnych warunkach, mogliby zorganizować się w spółdzielnię pracy, swobodnie zawierającą umowy z rewidowanemi spółdzielniami: I tu właśnie brak obecnie tych szczególnych warunków — istotnie demokratycznego ustroju wewnętrznego (dyktator spółdzielni nie będzie się nigdy układał ze spółdzielnią pracy u siebie jak równy z równym) brak silnej, nieraz decydującej ingerencji

zewnątrz i poszanowania trudnej, kwalifikowanej pracy — bez których to czynników o swobodnem porozumieniu czynnika pracodawczego i pracowniczego nie może być mowy.

Spółdzielnia pracy, rozumiana jako program do urzeczywistnienia *w każdych stosunkach społecznych*, a więc i u nas w Polsce w stosunkach obecnych, *zupełnie niezależnie od siły i świadomości ruchu wyzwoleńczego mas pracujących i od ich wpływu na stosunki społeczne w danem miejscu i czasie*, może być tylko mirażem dla pracowników, którzy nie nabyli krytycyzmu wobec rzucanych haseł. Takie hasła bez żywej społecznej treści, są bardzo pożądane dla rządów i kierunków społecznych, pozbawionych własnej myśli gospodarczej i społecznej, lub usiłujących osłonić myśl gospodarczą i społeczną obcą czy wręcz wrogą dla mas pracujących.

Nadmienić trzeba, że kierunek ten nie odróżnia jasno spółdzielczości pracy, w której zrzeszają się pracownicy, pozbawieni środków wytwarzania a rozporządzający conajwyżej najprostszemi narzędziami, od spółdzielczości *wytwórczej*, gdzie zrzeszenie jest właścicielem przedsiębiorstwa, a która to spółdzielczość wytwórcza, jako ruch samodzielny we wszystkich krajach o stosunkach gospodarstwa kapitalistycznego bądź spadła, nie wytrzymując konkurencji przedsiębiorstw czysto kapitalistycznych, bądź zwyrodniała w drobne spółki kapitalistyczne, zamykające się w niewielkiej grupie dawnych „spółdzielców“ przed napływem nowych członków i zupełnie przystosowane duchowo do otaczającego je prywatnego rzemiosła czy handlu. Autor artykułu bowiem „Wytyczne organizacyjne dla junactwa“ pod nagłówkiem „samodzielne spółdzielnie pracy“, kreśląc przyszłość dzisiejszych asów pracy w formach spółdzielni pracy, przewiduje, jako jeden ich typ (obok spółdzielni o charakterze ruchomym, będących odpowiednikiem przedsiębiorstw budowlanych) — „osiadłe zespoły warsztatowe, które mogły zastąpić tak zwany przemysł anonimowy drogą *wydzierżawiania względnie wykupywania nieuruchomionych przedsiębiorstw prywatnych*“. Pod nazwą spółdzielni pracy zajmuje się on przeto przedsiębiorstwami dysponującemi *własnemi czy wydzierżawianemi skomplikowanemi narzędziami pracy* i skazanemi niewątpliwie na zupełnie już ustalony los spółdzielni wytwórczych w społeczeństwie kapitalistycznem.

MARJA DEK

Antysemityzm a lewica

„Artykuł dyskusyjny.

Artykuł niniejszy nadesłany do Redakcji drukujemy ze względu na wagę poruszonego zagadnienia, mimo że ujęcie samego zagadnienia (zwłaszcza pretensje wyrażone pod adresem polskiego socjalizmu) nie odpowiada naszemu poglądowi na tę sprawę.

Dziesięć procent obywateli polskich żydów, stanowi rację istnienia wielkiego stronnictwa prawicowego i szeregu organów prasowych; oni umożliwiają żądnym władzy i karjery przywódcom objęcie „rządu dusz“ nad młodzieżą; oni dostarczają tematów do rozmów w biurach, pensjonatach i domach prywatnych; oni przypominają o sobie na ulicach miast napisami, malowidłami, swastykami, zdobiącemi co krok mury i płoty, ogłoszeniami o „chrześcijańskich firmach“. Wciskają się wszędzie. Argument agitacyjny dla wszystkich. Dokuczliwy, nieunikniony refren życia polskiego — Żyd.

Lewica jakby nie widziała tego swoistego „zażydzenia“ Polski. Lewica jakby nie zdawała sobie sprawy z prawdziwego niebezpieczeństwa żydowskiego, coprawda zgoła innego, niż to, którego dopatruje się endecja. Żywioły lewicowe u nas zdają się spostrzegać tylko dwie kategorje żydów. Z jednej strony nieliczny uświadomiony proletarjat żydowski, którego rozrost zahamowany jest nietylko przez ogólną sytuację gospodarczą, ale też przez antysemityzm i pracodawców i towarzyszy pracy. Z drugiej — bratnie żywioły inteligenckie, po największej części zupełnie zasymilowane. Z temi dwiema kategorjami żydów łączą lewicę węzły przyjaźni, wspólnych przekonań i dążeń, kwestja żydowska nie istnieje w zastosowaniu do nich ani rozumowo ani emocjonalnie. Za marginesem pozostaje cała reszta — ortodoksi, narodowcy, kapitaliści, pośrednicy i „lumpenproletarjat“. Tych albo się, solidarnie z antyklerykalną i antykapitalistyczną w takich wypadkach prasą reakcyjną, atakuje albo, co najczęściej, pozostawia swojemu losowi.

U podłoża takiej postawy leży najwidoczniej przeświadczenie, że z chwilą nastania nowego ustroju, kiedy starczy pracy dla wszystkich, kiedy zaniknie wolna konkurencja, miljonowe rzesze żydowskie staną przy wspólnym warszta-

cie, nadbudowa klerykalno - konserwatywno - handlarska ustąpi zdrowej psychice proletarjackiej; nacjonalizm żydowski stanie się zbędny, asymilacja dokona się automatycznie.

Perspektywy zaiste ponętne i, co ważniejsza, pożyteczne z punktu widzenia pragmatycznego. Budzą w masach, szczerze przejętych ideologją socjalizmu, już teraz poczucie sympatji dla spaczonych przez obecny ustrój przyszłych towarzyszy pracy, pozwalają zrozumieć tendencje rozwojowe. Ale niedobrze jest stale wyprzedzać rzeczywistość i rozstrzygać bieżące konflikty z wyżyn zgóry wiadomego rozwiązania. Bo wtedy niepostrzeżenie przechodzimy od naukowego marksizmu, który nie chciał czynu hamować, przeciwnie, jak reflektorem, na pewien dystans dziejowy oświetlić go i skrystalizować — do banalnego, starego jak świat, fatalizmu.

Wszyscy, czy ewolucjoniści, czy najkrańcowsi rewolucjoniści uważają za stosowne przygotowywać grunt pod lepszy ustrój społeczny — książką, słowem i czynem walczą już dzisiaj w imię reform, zmniejszających niesprawiedliwość dnia dzisiejszego lub podnoszących ogólny poziom kulturalny kraju. Ale chociaż każdy lewicowiec przyzna, że zarówno antysemita jak małomiasteczkowy talmudysta żydowski pozostać muszą, obok innych potworności t. zw. kwestji żydowskiej, poza progiem nowego ustroju, pozostawia się przypadkowi tę najzawilszą sprawę polskiego życia. Ignorowanie potęgi instynktów narodowościowych, etnicznych, religijnych, całego podświadomego kompleksu, odziedziczonego po wiekach — to droga nie do przezwyciężenia tych instynktów, ale do klęski.

Socjalizm naukowy czerpał swe soki w żywiołowej nienawiści do krzywdy i do ucisku. Księgi Marksa i Engelsa krwią były pisane. Jakie jest stanowisko lewicy wobec wielkiej siły antysemityzmu, który obejmuje masy proletarjackie i chłopskie i staje się jedynem ujściem dla buntu pokrzywdzonych? Podstawia on obraz chrześcijańskiego sklepiku na miejsce obrazu uspołecznionej gospodarki, a odżydzonej Polski — na miejsce bezklasowego społeczeństwa.

Kwestji żydowskiej niema na łamach prasy lewicowej. A jednocześnie powstają bibljoteki żydoznawcze i przeni-

kają do wsi i do fabryk, zatruwają miazmatami średniowiecza dusze masy, która — w dzisiejszych czasach bezrobocia i nędzy — coraz bardziej zatraca jednolitość proletarjacką i staje się konglomeratem lumpenproletarjatu, drobnomieszczaństwa i chłopstwa, nieraz w jednej i tej samej rodzinie. Szerzą się wsród ludu potworne bajki o mordzie rytualnym, o mędrcach Sjonu, o podwójnej etyce Talmudu — lewica nie zdaje sobie trudu, by te „brednie" obalać, lewica nie ma, jak prasa czarnosecinna, speców judaistyki, bo ktoby się tam interesował tradycją żydowską, która pryśnie, jak lody, z nastaniem słońca rewolucji. Intelegencję zaś karmi się teorjami rasizmu, rasistowską historjozofją i teorją kultury, z którą jakoby nie warto dyskutować. Wskutek tego miljony Polaków, żyjących nie jutrem, a chwilą obecną, coraz bezapelacyjniej, aż po szeregi partyj socjalistycznych wyznaje *dogmaty antysemityzmu*, nigdzie nie kwestjonowane, przez nikogo nie dementowane. Przykładem takiej szerokiej ekspansji pojęć stworzonych przez antysemitów jest powszechne używanie absurdalnego pojęcia „niearyjski" i „niearyjczyk", dla oznaczenia ludzi, którzy wyznawali lub których przodkowie wyznawali religję mojżeszową.

Już to raz było — niedawno i blisko nas. W pewnym kraju wyśmiewano się z absurdów, głoszonych przez „półanalfabetów, zboczeńców i szalbierzy". Nie brano ich na serjo. Antysemityzm był jakoby dla ludzi światłych czemś tak „śmiesznem", że nie warto go było zwalczać. Aż wąską ścieżynką nienawiści rasowej, czynnika nieprzewidzianego w traktatach ekonomicznych, wsączył się do Niemiec, (sączy się gdzieindziej) reakcja społeczna i na wiele, wiele lat uniemożliwia nastanie dnia sprawiedliwości społecznej w solidarności międzynarodowej.

Socjalizm polski nie powinien iść śladami socjaldemokracji niemieckiej. Z każdym dniem rośnie dewastacja w umysłach polskich. A wiernem jej odbiciem jest psychika żydowstwa polskiego. Cóż w niej może być innego, jak rozpacz, rozgoryczenie, deprawacja? Separatyzm szkolny, towarzyski i zawodowy, bojkot, faktyczny numerus clausus w szkołach średnich i numerus nullus w szkołach zawodowych,

z konieczności odrodzenie się ghetta kulturalnego — stwarzają zatruty kompleks socjalny i psychiczny.

Powiedzmy wreszcie prawdę: nie zajmujemy się kwestją **żydowską nie dlatego, że ona się sama przez się zlikwiduje, ale właśnie dlatego, że jest najtrudniejsza, najbardziej skomplikowana, że nie da się ująć w formuły, że odraża swą brzydotą.**

Jadowite teorje i demagogiczna praktyka antysemityzmu zatruwają każdy odcinek życia polskiego. Lewica — przeciwstawia temu tylko ignorancję, inercję. Bez najmniejszej przeszkody antysemityzm szerzy w Polsce ***ogłupienie i zdziczenie.*** **Nikt nie podejmuje próby oporu. Dlaczego?**

OBÓZ — KURS PRZODOWNICZEK I PRZODOWNIKÓW LEKKIEJ ATLETYKI

Wydział techniczny Zw. Rob. Stow. Sport. powierzył 1-mu Robotniczemu Ośrodkowi Wychowania Fizycznego zorganizowanie i przeprowadzenie wymienionego kursu. Kurs rozpoczyna się w parę dni po zlocie Z. R. S. S., mianowicie 6-go lipca i trwać będzie dwa tygodnie, t. j. do 19 lipca r. b. wł.

Obóz odbędzie się w okolicach historycznego, pięknie położonego Kazimierza nad Wisłą. Dojazd do stacji Nałęczów lub Puławy na linji kolejowej Lublin—Dęblin. Obóz ma charakter wybitnie wyszkoleniowy i dostępny jest tylko dla osób w wieku od lat 18—30. (Obozy wypoczynkowe patrz w komunikacie Z. R. S. S.).

Na obozie zostanie przerobiony 1 stopień Robotniczej Odznaki Sportowej.

Koszt pobytu dwutygodniowego wynosi 19 zł., przejazd opłacają uczestnicy, otrzymując 80% zniżki kolejowej w obie strony.

Zgłoszenia nadsyłać do 1-go Robotniczego Ośrodka Wychowania Fizycznego w Warszawie, ul. Czerwonego Krzyża 20, do dnia 5 lipca. Ze względu na trudności przy wyrabianiu zniżek kolejowych, późniejsze zgłoszenia uwzględniane nie będą. Program wyszkoleniowy kursu dla mężczyzn przewiduje przerobienie i całkowite opanowanie wszystkich konkurencyj lekkoatletycznych, ponadto dla zawodników zaawansowanych przewidziany jest trening kondycyjny. Kobiety przerabiać będą oprócz lekkiej atletyki również gry sportowe.

Organizacje robotnicze i sympatycy proszeni są o propagandę tego obozu! Zgłoś się zaraz! Lepiej później wycofać się, niż zgłosić się po terminie!

J. N. MILLER

O współdziałanie lewicy literackiej

W Nr. 3 „Lewego Toru“ w artykule „O ekspansję socjalistyczną“, wskazując na sytuację polityczną i społeczną chwili obecnej, wyraziłem pogląd, że wbrew pozorom mamy do czynienia obecnie z olbrzymią ekspansją idei socjalistycznej, ekspansją, dla której należałoby znaleźć możliwe w danych warunkach ramy organizacyjne.

Temi ramami mogłoby się stać narazie pismo, które, stojąc na gruncie jednolitego frontu proletarjatu i unikając niewczesnych zadrażnień genealogicznych, dążyć powinno do powiązania z klasowym ruchem proletarjatu możliwie najszerszych warstw i grup społecznych.

W Nr. 6 „Lewego Toru“ pozwoliłem sobie to samo stanowisko rozwinąć w artykule „Bankructwo literatury a jednolity front“, wskazując na konieczność powiązania organizacyjnego lewicy literackiej i utworzenia wspólnego frontu antyfaszystowskiego.

W charakterze odpowiedzi na pierwszy z tych artykułów w Nr. 7 „Lewara“ ukazał się artykuł p. t. „O porozumienie lewicy literackiej“, który stać się może i powinien podstawą dalszego porozumienia na temat możliwości współdziałania pisarzy lewicowych niezależnie od dzielących ich różnic w poglądach społecznych i politycznych.

Autor artykułu nie bez racji podkreśla, że front lewicy literackiej powinien stać się przedłużeniem jednolitego frontu robotniczego. Dodajmy od siebie, że gdy we Francji takie porozumienie pisarzy lewicowych mogłoby być przedłużeniem jednolitego frontu robotniczego, u nas — raczej jego prognozą i zapowiedzią.

Autor artykułu podkreśla konieczność wspólnej walki z faszyzmem przy zachowaniu i uszanowaniu samodzielności ideologicznej każdej ze stron.

Artykuł kończy się wezwaniem wszystkich pisarzy lewi-

cowych do wypowiedzenia się w sprawie ewentualnego porozumienia i współdziałania.

Jakież mogą być warunki i platforma tego porozumienia?

Niezależnie od tego czy innego stanowiska politycznego, filozoficznego i estetycznego możnaby sobie przedstawić jakąś wspólną platformę w postaci solidarności z klasowym ruchem robotniczym w dążeniu do zmiany ustroju społecznego.

Niezależnie od różnic językowych, dzielących pisarzy, należałoby dążyć do porozumienia w celu wspólnego przeciwstawienia się faszyzacji zarówno życia politycznego, jak i kultury na gruncie współdziałania z jednolitofrontowym ruchem mas, którego częścią składową byłoby porozumienie na terenie literackim.

Mimo całej wieloznaczności tego pojęcia należałoby sądzić, że dążenie do rozwoju i ugruntowania kultury proletarjackiej powinno być jednem z naczelnych zadań tego porozumienia. Właściwa treść tego pojęcia może się okazać wypadkową dążeń pozornie wieloimiennych i zróżnicowanych, lecz określonych przez wspólne podłoże społeczno-ekonomiczne ruchu dziejowego, zmierzającego do przystosowania form życia kulturalnego do wyłaniających się z tego kryzysu ustrojowego nowych warunków życia gospodarczego.

Niezależnie od współdziałania z masowym ruchem robotniczym w dążeniu do przebudowy socjalistycznej społeczeństwa i obrony zdobyczy społecznych przed zakusami reakcji i faszyzmu zarówno u nas, jak i gdzieindziej, pisarze lewicowi powinni się zrzeszyć i porozumieć również ze względu na konieczność obrony swoich interesów zawodowych, któremi żadna z istniejących obchodowych lub towarzyskich organizacyj literackich nie uznała za stosowne się zająć.

Pisarz jak dotąd jest całkowicie wydany na łup swego wydawcy, nie znajdując najmniejszego oparcia w żadnem zrzeszeniu czy organizacji; pisarz lewicowy nadomiar złego jest skazany na pisanie dla biurka, gdyż nie ma możności publikowania swych utworów zarówno ze względów cenzuralnych, jak i wydawniczych.

Wymieniając kilka tych przykładowych zadań, nie wy-

czerpujemy, oczywiście, tematu, nie zakreślamy granic ani napięcia tego porozumienia.

Sam fakt znalezienia się poza nawiasem czynnego życia organizacyjnego literackiego wszystkich niemal pisarzy lewicowych świadczy wymownie o konieczności skupienia się pisarzy niezależnych i wyłonienia jakiejś grupy, której słowo i wola nie mogłyby pozostać bez wpływu na opinję publiczną. Poziom zarówno artystyczny, jak i moralny naszej literatury nie zadowala nawet najmniej wybrednego czytelnika polskiego. Trzeba niemałej pracy i wysiłku, żeby wydźwignąć literaturę z obecnego upadku i poniżenia, żeby przywrócić jej pozycję moralną, którą zdobyła sobie choćby w czasach Wyspiańskiego i Żeromskiego.

Witając z uznaniem cytowane powyżej oświadczenie „Lewara“, opowiadającego się za porozumieniem pisarzy lewicowych, sądzę, że zbytnie dociekania teoretyczne na temat platformy porozumienia, narazie nie są niezbędne. „Lewy Tor“ wespół z „Lewarem“ powinny ująć w swe ręce inicjatywę organizacyjną tego porozumienia i stać się ogniskami akcesów dla pisarzy lewicowych, sympatyzujących z samą ideą porozumienia i współdziałania.

O formach i rodzaju tego współdziałania (pismo — zrzeszenie — czy może jedno i drugie) zadecydują warunki i potrzeba chwili.

Daubmann

(Fragment widowiska)

Przed stacją kolejową w Endingen, w Badenji. Z lewej strony druciany płot, za którym widoczne urządzenia peronu. W płocie przejścia z napisami „Ausgang“ i „Eingang“, ozdobione chorągiewkami i girlandami. W głębi, na dwóch słupach, ogromny transparent z napisem: „Hoch Daubmann“. Pod transparentem młodzież szkolna, uszykowana w dwuszeregu. Pozatem tłum publiczności: ogólne podniecenie, nastrój uroczysty, gwar przyciszonych rozmów.

REPORTER *na proscenjum, przy aparacie fotograficznym, pisze w notatniku* ...Wielki dzień Endingen... Już od godziny dziewiątej... na dworcu kolejowym... wspaniale u-de-ko-ro-wa-nym... przedstawiciele władz, stowarzyszeń, obywatelstwa... Wszystkie serca... zgodnym rytmem... o-cze-ki-wa-nia... *biegnie między publiczność.*

DAUBMANNOWA *w towarzystwie pastora Seidenstossa, przystają na przodzie sceny.*

SEIDENSTOSS — Niezbadane są wyroki opatrzności, szanowna pani Daubmann!

DAUBMANNOWA *drżąca, nieopanowana* — Tak, panie pastorze! Trudno mi uwierzyć, że to naprawdę... że mój Rudi... och! ledwie trzymam się na nogach!

SEIDENSTOSS — Odwagi, matko bohatera!

DAUBMANNOWA *bardzo cicho, poufnie* — Nie! Nie myślę o bohaterze! Myślę jedynie o s y n i e! O moim s y n i e!

SEIDENSTOSS *z wyrzutem* — Ależ, szanowna pani Daubmann, ciasna wyłączność uczuć nie przystoi niemieckiej kobiecie! Szczęście, które pani dziś przeżywa, nie jest tylko jej prywatną własnością! O, to sprawa o wiele znaczniejsza! Patrz pani: najpierwsi obywatele miasta stawili się tutaj, aby powitać twego syna!

DAUBMANNOWA *nieśmiało* — Wyznam, panie pastorze, że wolałabym być tu w tej chwili — sama z moim mężem! *rozgląda się nieznacznie.* — Obecność tych ludzi napełnia mnie jakimś lękiem! Wszystko tu jest tak samo, jak wtedy... wtedy, gdy o n i odjeżdżali, w okropnym roku siedemnastym!

SEIDENSTOSS — To tylko nerwy — nerwy! Nie trzeba się poddawać, szanowna pani Daubmann!

DAUBMANNOWA — Och, to wspomnienie! Chwilami chciałabym... uciec stąd!

SEIDENSTOSS — To źle, to bardzo źle! Jakto, czyż serce pani nie wzbiera słuszną dumą...

DAUBMANNOWA *z nagłem wzburzeniem* — Panie pastorze! Duma, o której pan mówi, jest oszustwem!

SEIDENSTOSS — Na miłość boską! Kto panią nauczył takich słów?!

DAUBMANNOWA *głucho* — Przez piętnaście lat opłakiwałam jedynego syna — to straszna szkoła, panie pastorze Seidenstoss!

SEIDENSTOSS *bierze ją pod ramię* — Ależ, niech pani się uspokoi, szanowna pani Daubmann! — *prowadzi ją wgłąb, znikają wśród publiczności.*

REPORTER *znów na proscenjum, notuje* — Uwagę zebranych zwraca... drżąca postać... pani Daubmann... matki oczekiwanego bohatera... Na przybladłej twarzy... cicha radość... głębokie wzruszenie... Ta przywiędła, drobna postać ma w sobie... coś im-po-nu-ją-ce-go... Przypomina owe mężne... matki Spartanki... Spar-tan-ki! —

Daubmann, burmistrz Hincke i nauczyciel Krummschnabel, w czarnych surdutach i cylindrach, przystają na przodzie

HINCKE — Tak, to ma wielkie znaczenie wychowawcze! O, niewątpliwie! Myślę, moi panowie, że nasza dzisiejsza młodzież, znająca tylko z opowiadań tragiczne, choć pełne chwały, dzieje oręża niemieckiego w wojnie światowej — że ta młodzież, powiadam, jest z natury rzeczy wrażliwa raczej na żywe świadectwa tych dziejów, nieprawdaż, panie nauczycielu Krummschnabel?

KRUMMSCHNABEL — Rozumie się! Niczem są pomniki i marmury, wobec żywego świadectwa ludzi, których czoła wieńczy nimb bohaterstwa!

DAUBMANN *jakby budząc się z zamyślenia* — Pomniki i marmury? A ja właśnie, moi panowie, myślę w tej chwili o owej... tablicy marmurowej, którą — dwanaście lat temu, po wojnie — ufundowałem mojemu synowi...

KRUMMSCHNABEL — Aa, mówi pan o tablicy na murze

naszego gimnazjum, którego chlubą był niegdyś Rudolf Daubmann?

DAUBMANN — Tak, o niej właśnie! Przyznam się panom, że od dwunastu lat, przechodząc codziennie niemal ulicą Gimnazjalną, tak zżyłem się z widokiem tej tablicy... z jej pięknym, złoconym napisem...

HINCKE — Nic dziwnego, nic dziwnego!

DAUBMANN — Hm... jak panowie sądzą — wypadnie chyba tę tablicę zdjąć, wobec...

KRUMMSCHNABEL — Tak, wobec tego, że Rudolf Daubmann żyje...

HINCKE — Cóż, treść tablicy nie odpowiada już dziś, że tak powiem, faktycznemu stanowi rzeczy!

DAUBMANN *z westchnieniem* — To prawda! Trzeba będzie kazać zdjąć — cóż robić? Hm, czy panowie nie uważają, że... będzie to poniekąd — degradacją? Degradacją nazwiska Daubmannów? Że, do pewnego stopnia...

KRUMMSCHNABEL — Tak, do pewnego stopnia, tablica z napisem złoconym... tak, bądź co bądź... no, nie powiedziałbym znów: degradacją, ale w każdym razie...

HINCKE — Tablica była pozatem, rzekłbym, ozdobą gmachu, a więc i ozdobą miasta!

DAUBMANN *z rezygnacją* — Ha, trudno, moi panowie! Niechże i miasto też coś na tem straci! *Odchodzą wgłąb.*

REPORTER *znów na proscenjum, notuje* — Doskonale trzyma się... pan Johann Daubmann... emerytowany radca sądu krajowego... Twarz nacechowana godnością... i powagą... Od czasu do czasu pan Daubmann... wstydliwym ruchem... sięga... po zegarek... Tym ruchem zdradza... swoje niezwykłe... wzru-sze-nie... *Odchodzi między publiczność.*

Od strony peronu nagły gwizd i zbliżający się szum pociągu.

PORTJER *nadbiega z peronu, staje w przejściu z napisem „Eingang"* — Uwaga! Uwaga! Pociąg osobowy w kierunku Fryburga, Berlina...

HINCKE *do publiczności* — Panowie i panie! Proszę o utrzymanie porządku, zakreślonego programem! Państwo zechcą cofnąć się... o tak, proszę, proszę. Państwo zechcą uspokoić się — proszę! Proszę!

Publiczność grupuje się po prawej stronie, tak, że środek sceny pozostaje wolny. Przed ustawionym w głębi dwusze-

regiem młodzieży staje Krummschnabel. Wszyscy patrzą z napięciem w stronę peronu; w rękach kobiet pojawiają się chusteczki. Orkiestra za sceną gra marsza. Reporter celuje z aparatu fotograficznego ku wyjściu z peronu. Daubmann, Daubmannowa, pastor Seidenstoss i burmistrz Hincke w osobnej grupie na środku sceny. Gwar opada. Orkiestra przestaje grać. Zalega zupełna cisza.

REPORTER *na proscenjum, notuje* — ...Pociąg od granicy szwajcarskiej... punk-tu-al-nie... godzina dziewiąta minut cztery... Potężne dźwięki marsza... Napięcie wśród zebranych... punkt kul-mi-na-cyj-ny. Wśród niezmąconej ciszy...

DAUBMANNOWA *przejmującym szeptem* — Mój Boże!!

Karol Ignacy Hummel, w nowem ubraniu, ukazuje się od peronu, prowadzony pod ręce przez dwóch jegomościów w cylindrach; jeden z nich dźwiga jego nowiutką walizeczkę. Wchodzą w przejście z napisem „Ausgang".

KRUMMSCHNABEL *podnosi rękę, dając znak młodzieży.*

MŁODZIEŻ, *wymachując chorągiewkami* — Hoch Daubmann! Hoch! Hoch! Hoch!

PUBLICZNOŚĆ, *machając chusteczkami i kapeluszami, wznosi różne okrzyki.*

Hummel nieco osłupiały, niezdecydowanie zatrzymuje się pośrodku; dwaj jegomoście opuszczają go, odchodzą skromnie na ubocze. Okrzyki ustają nagle. Wśród zupełnej ciszy Hummel zdejmuje kapelusz, kłania się niezgrabnie.

DAUBMANNOWA *słania się ku niemu z przejmującym okrzykiem* — Rudi!! Rudi!! — *pada mu w ramiona, zasypując pocałunkami, które Hummel niezgrabnie oddaje.*

REPORTER *robi zdjęcie.*

PUBLICZNOŚĆ *milczy, wzruszona; chusteczki przy oczach.*

DAUBMANNOWA *gładzi Hummela po twarzy, po włosach* — Mój synu... synu!!

HUMMEL *bąka bezradnie* — Tak... tak...

DAUBMANNOWA *odstępuje na krok, nie puszczając rąk Hummela, zwraca się do Daubmanna* — Johann! O Boże! Patrz-no, jakiż mężczyzna z niego wyrósł!

DAUBMANN *poprawia kołnierzyk, podchodzi, obejmuje Hummela ramieniem, całuje w oba policzki* — No więc, mój chłopcze, wróciłeś...

DAUBMANNOWA *wciąż żarliwie wpatrzona w Hummela* — I jak się zmienił, mój Boże! Niedopoznania!!

HUMMEL *bąka niewyraźnie* — *Tak... tak...*

Seidenstoss, Hincke, Krummschnabel podchodzą kolejno, ściskają dłonie Hummela; Seidenstoss nawet całuje go.

REPORTER *na proscenjum, podczas tego, notuje* — Rudolf Daubmann z trudnością... opanowuje... wzru-sze-nie. Twarz jego blada... wynędzniała... Znać na niej okropne przeżycia... francuskiej nie-wo-li...

SEIDENSTOSS *staje naprzeciw Hummela, prostuje się, przemawia* — Nie ludzka, ale boska moc wywiodła cię, kochany Rudolfie, synu szanownych małżonków Daubmannów, z okrutnej, długoletniej niewoli, z rąk barbarzyńskiego wroga! Mógłbym tu słowami Pisma przypomnieć starożytnego Izraela, który z ziemi egipskiej... — *urywa, mitygując się.* — Lecz nie! Nie! Pocóż wspominaniem narodu biblijnego mącić dzisiejszą naszą uroczystość, tak radosną dla każdego rzetelnego Niemca? Więc tylko, stwierdzając oną miłosierną wszechmoc boską, w imię pańskie witam cię, kochany chłopcze — jak niegdyś, pamiętasz zapewne tę chwilę, błogosławiłem cię, gdyś z tego miasta przed piętnastu laty wychodził z orężem w dłoni, by bronić niemieckiej ojczyzny przed napaścią bezbożnej Francji! Niezwykłe twoje losy, o których zapewne wiele będziesz miał nam do opowiedzenia, czemże są, jeśli nie dowodem szczególniejszej opieki bożej nad tobą, kochany Rudolfie Daubmann? To też nie wątpię, iż ufny w dalszą niewyczerpaną łaskawość tej opieki, gotowy będziesz zawsze stanąć na wezwanie drogiej nam wszystkim matki-ojczyzny, jeśliby ona kiedykolwiek jeszcze miała tego zażądać od ciebie! Cieszmy się i radujmy, o bracia, albowiem czas ten jest już może niedaleki! Amen. — *Oburącz ściska dłoń Hummela; ogólne wzruszenie, szmer aplauzu.*

REPORTER *na proscenjum, notuje* — ...Pierwszy w podniosłych słowach... pastor Seidenstoss... Jak zwykle, głęboka treść... jego prze-mó-wie-nia... zastosowanego do okoliczności... wywarła wielkie wrażenie na zebranych...

HINCKE *występuje, prostuje się, chrząka* — Panowie i panie! W imieniu miasta Endingen, jako głowa tegoż, witam pana Rudolfa Daubmanna, syna szanownych naszych

współobywateli! Jesteśmy dumni... tak, jesteśmy dumni... mamy prawo być dumni... tak, bądźmy dumni, panowie i panie — podobnie piękne chwile nie zdarzają się codziennie w życiu naszego narodu! Chwile, powiedziałbym, wzniosłe... Chwile, możnaby rzec, niezwykłe — jak niezwykłemi były losy Rudolfa Daubmanna! Krótko mówiąc — hoch Daubmann, moi panowie!!

PUBLICZNOŚĆ — Hoch! Hoch! Hoch! HINCKE *ściska dłoń Hummelowi.*

KRUMMSCHNABEL, *gdy okrzyki ucichły, występuje* — Szanowni państwo! Jako od długiego lat szeregu wychowawca młodych pokoleń naszego miasta, pragnę w kilku słowach podkreślić znaczenie dzisiejszej uroczystości ze stanowiska, pozwolę sobie to powiedzieć, wy-cho-waw-cze-go!! — *pauza* — Rudolfa Daubmanna znałem, proszę szanownych państwa, kiedy jeszcze jako siedemnastoletni chłopiec siedział na ławie naszego gimnazjum... Był zawsze — przypominam to sobie doskonale! — wzorowym, pilnym i pracowitym uczniem... Dziś — widzę przed sobą mężczyznę — o tak, szanowni państwo, dojrzałego mężczyznę o twarzy, nacechowanej przeżyciami, które — jak to słusznie zauważył pan burmistrz Hincke — zaliczyć musimy do niezwykłych! — *pauza.* — Ale, proszę szanownych państwa, w tej twarzy zwraca moją uwagę jeden przedewszystkiem, dla wszystkich widoczny szczegół: ta oto głęboka, ciemna blizna na lewym policzku pana Rudolfa Daubmanna! Zapewne usłyszymy jeszcze o niej. Co do mnie, nie wątpię, iż ten chlubny znak żołnierski pochodzi od francuskiej szabli lub bagnetu...

HUMMEL *niewyraźnie* — Tak... od bagnetu...

KRUMMSCHNABEL — Właśnie! Otóż, proszę szanownych państwa, znaczenie tej zaszczytnej blizny, którą widzimy na twarzy pana Rudolfa Daubmanna, pragnę właśnie podkreślić w dzisiejszej uroczystości! A znaczenie jej, pozwolę sobie to powiedzieć, jest wybitnie wy-cho-waw-cze!! Niechże się bliźnie tej, chlubnemu temu znakowi, dobrze przyjrzy obecna tutaj młodzież nasza! — *zwraca się do dwuszeregu młodzieży* — Pan Rudolf Daubmann, kochani chłopcy, też był kiedyś małym chłopaczkiem, z książkami w tornistrze wstępującym co rano po schodach gimnazjal-

nych. Miał wtedy — o, pamiętam dobrze! — twarz rumianą i gładką — gładką jak wasze! Przyjrzyjcie się dobrze bliźnie, zdobiącej dziś — o, tutaj! — jego oblicze! I zapamiętajcie: oby każdy z was mógł się w przyszłości pochlubić taką samą, lub podobną! A zanim to nastąpi, wznieśmy tymczasem z pełnej piersi okrzyk: pan Rudolf Daubmann, dobry syn swej ojczyzny — niech żyje!!

WSZYSCY — Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

KRUMMSCHNABEL *entuzjastycznie ściska mu dłonie.*

DELEGAT *w uniformie, z bukietem w ręku, występuje* — W imieniu związków rezerwistów i byłych wojaków przyjmij, drogi kolego, tę skromną wiązankę wraz z serdecznem, wojskowem pozdrowieniem! — *całują się.*

PUBLICZNOŚĆ *bije oklaski.*

REPORTER *na proscenjum, notuje* — ...Apelując do młodzieży... pełne polotu przemówienie wygłosił... pan nauczyciel Krummschnabel... poczem delegat związku re-zer-wistów...

DAUBMANN *do Hummela, odprowadzając go cokolwiek nabok, półgłosem.* Cóż, Rudolfie, wypada, abyś odpowiedział...

HUMMEL *zmieszany* — Nie... nie jestem w stanie... Tyle wzruszeń!

DAUBMANN *skwapliwie* — Hm, a więc muszę cię wyręczyć, mój drogi... wypada przecież! — *głośno do publiczności* — Szanowni panowie i łaskawe panie! Syn mój czuje się tak przejęty doznanem tu przyjęciem, iż nie jest w stanie zdobyć się na słowa krótkiej chociażby odpowiedzi. W jego imieniu przeto dziękuję szanownym panom i łaskawym paniom za tak miły dla nas ich współudział w naszej radości! — *chrząka, prostuje się.* — Od siebie zaś pragnę nadto oświadczyć panu burmistrzowi Hincke, iż z okazji tak niezwykłego dnia w mojej rodzinie, deklaruję złożyć do jego rąk sumę marek pięćdziesiąt — dla bezrobotnych miasta Endingen!

HINCKE *ściska dłoń Daubmanna* — W imieniu bezrobotnych miasta Endingen — dziękuję! — *ogólny szmer aplauzu, brawa tu i ówdzie.*

REPORTER *z notesem w ręce, podchodzi do Hummela* — Pozwoli pan, dla redakcji „Endingener Rundschau“ — maleńki wywiadzik!

DAUBMANNOWA *wzburzona* — Ależ drogi panie... On ledwie na nogach...

HUMMEL *słabym głosem* — O tak, w istocie... Ja ledwie na nogach...

REPORTER — Dwa słowa chociaż — zdanie, aforyzm!

DAUBMANN *poważnie, do Hummela* — Hm, jednak prasa ma swoje prawa, Rudolfie!

KRUMMSCHNABEL *uderzając Hummela po ramieniu* — Powiedz pan coś poprostu, od serca! Prasa — to potęga!

REPORTER — Jakieś wrażenie, stan uczuciowy! Naprzykład: czego pan doznał, wjeżdżając w granice ojczyzny?

HUMMEL *lirycznie* — Ach, panie! Serce zabiło mi gwałtownie!

REPORTER *notuje skwapliwie* — „Serce... gwał-tow-nie". Doskonale! A — co pan może powiedzieć o Francuzach?

HUMMEL *dobitnie bez namysłu* — O, to barbarzyńcy!!

REPORTER *notuje* — „Bar-ba-rzyń-cy" — *Do Hummela* — Tak! Jeszcze jedno: co panu dodawało sił do przetrwania tak długo w niewoli?

HUMMEL *skromnie* — Oh, panie! Praca i modlitwa!

REPORTER *notuje* — „Praca... mo-dli-twa" — *sklada notes.* — Taaak, to narazie — tyle! W imieniu redakcji dziękuję panu za cenne i niezwykle głębokie słowa! Zwięzły, lapidarny, prawdziwie żołnierski styl pańskich wypowiedzi będzie z uznaniem przyjęty przez naszych czytelników! O dłuższy wywiad pozwolę sobie zwrócić się do pana w dniu jutrzejszym!

DAUBMANNOWA *do Daubmanna, na boku* — Jak sądzisz, Johann — moglibyśmy już odjechać?

DAUBMANN *surowo* — To jest przewidziane programem uroczystości, Berto! — *Ciszej, rozglądnąwszy się.* — Zdaje mi się, że został on już — niestety — wyczerpany...

DAUBMANNOWA *z westchnieniem* — Bogu dzięki!

HINCKE *wraz z Krummschnablem, uwija się wśród publiczności, woła głośno* — Panowie i panie! proszę rozstąpić się... Proszę uformować przejście! Państwo Daubmann z synem udadzą się teraz do powozu, który odwiezie ich do domu. — Proszę, proszę!

Publiczność ustawia się, tworząc szerokie przejście, prowadzące w prawą stronę, na ulicę. Orkiestra gra marsza. Daub-

mannowie żegnają się z niektóremi osobami, poczem biorąc pod ręce Hummela, kierują się ku wyjściu. Publiczność wznosi różne okrzyki; powiewają chusteczki i kapelusze. Hummel kłania się na wszystkie strony.

KRUMMSCHNABEL *gdy już publiczność wychodzi za Daubmannami, staje przed dwuszeregiem młodzieży wgłębi, komenderuje krzykliwie.* W prawo zwrot! Za mną marsz!

Dwuszereg młodzieży wykonuje rozkazy; z Krummschnablem na czele, marszowym krokiem wychodzą w prawo. Scena pustoszeje.

PORTJER *powoli zamyka przejście z napisem „Ausgang“.*

TRAGARZ *pojawia się na proscenjum, od strony peronu; podchodzi do portjera, mówi poufnie* — A co, Feilenhauer — parada z kajzermarszem, hę? Brunatni będą mieli świeżego konia do jazdy — co?

PORTJER *rozgląda się na wszystkie strony, z palcem na ustach* — Tsss... — *prowadzi tragarza na przód sceny, mówi półgłosem* — Ten... Daubmann — wrócił z Afryki, po piętnastu latach niewoli u Francuzów, hm?

TRAGARZ — Niby, tak mówią...

PORTJER *cicho* — A ja go widziałem — pół roku temu, nie więcej! — w Berlinie, kiedy jeszcze pełniłem tam służbę... wiesz, na Schlesischer Bahnhof!

TRAGARZ — O, do licha! Czy się nie mylisz, Feilenhauer?

PORTJER *z przejęciem* — Głowę dałbym! Znaleziono go wtedy, ukrytego w podwoziu wagonu, w pociągu, idącym w stronę granicy szwajcarskiej... Byłem przy tem, jak go wyciągnięto z owego, niezbyt wygodnego pomieszczenia — uważasz, gęba tak niezwykłego pasażera dziwnie jakoś utkwiła mi w pamięci! Ba, nietylko gęba — cała figura, postawa, ruchy...

TRAGARZ — I cóż się z nim wtedy...

PORTJER — Żalił się, że bezrobotny... chciał gdzie, za pracą — uważasz! Puściliśmy go — ano, i poszedł sobie!

TRAGARZ *wzrusza ramionami* — Hm, bywają ludzie tak podobni!

PORTJER — Do licha! Głowę dałbym, że się nie mylę!

TRAGARZ *śmieje się, klepie portjera po ramieniu* — Szkoda głowy, Feilenhauer — szkoda głowy!

ZASŁONA.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Zły dzień

(Fragment powieści p. t. Człowiek za burtą).

Pułkownik Jan Karolak miał dziś wyraźnie swój „zły dzień“. Nagle, bez żadnej przyczyny przypomniał sobie wszystkie niezałatwione i nieprzyjemne sprawy, jakie miał przed sobą. Zupełnie jakby je musiał natychmiast załatwiać i rozstrzygać. Zapomniane, odłożone rozmyślnie i umiejętnie, oddawna czekające swej kolei, dziś „zażądały“ rozstrzygnięcia.

Żachnął się.

— A cóż to znowu takiego?

Rozejrzał się po swojej jasnej, czeczotowej sypialni, ale nie odczuł zwykłego zadowolenia i dumy, że oto tak daleko już zaszedł, wszystko zdobył własną zasługą i pracą, niewątpliwemi zdolnościami. Przeciwnie, kiedy spoglądał na małe, jasne, błyszczące od niklowych kół i prętów łóżko swojego maleńkiego syna, doznał przez chwilę przejmującego uczucia goryczy. Niewątpliwe ukłócie zazdrości.

To był zły dzień i nie można było od niego uciec. Jana zalała cuchnąca, nienawistna fala wspomnień. Skąd brały się te plastyczne obrazy czasów raz na zawsze zapomnianych, wykreślonych z życia?

Dzieciństwo. Duża izba najszczelniej zapełniona gratami i ludźmi. Rodzinna stróżówka! Piec i zlew na lewo, na prawo przy ścianie dwa duże, drewniane łóżka i szafa, której nie wolno było Janowi otwierać, bo się trudno zamykała, stojąc zawsze zlekka pochylona na nierównej przez starość i wilgoć spaczonej podłodze. Koło drzwi jakieś kufry i kosze, na środku jeden stół, pod oknem, wciśniętem wgłąb, małem oknem suterynowem, drugi, mniejszy.

Oparty o ten stół Janek wypłakiwał palącą nienawiść do tego domu, matki i ojca, cały obolały od razów pasa, buta,

pięści. Wystarczyło tylko pomyśleć o dzieciństwie, a już widziało się głowę dziecka opartą o ten stół, wstrząsane płaczem chude ramiona, już się słyszało jego rozdzierający krzyk, bicie i szamotanie. Aż do tej chwili, gdy w obronie jego wystąpiła sama pani gospodyni, swą ingerencją w życie chłopca, zmieniająca całkowicie wszystkie wartości.

O, ta scena, ta straszna scena! Czy podobna ją było zapomnieć, czy można ją było pamiętać, myśleć o niej...

— Pijak, pijak, wstrętny pijak — krzyczała histerycznie pani Czarkowska — nie mogąc patrzeć na znęcanie się nad dzieckiem, zupełnie jakby to nie ona swojem niewczesnem wtrąceniem w sprawy dzieci wywołała tę scenę.

— Wyrzucę was precz — padły nagle słowa z ust gospodyni i Janek, który jeszcze pochlipywał z przerażeniem zobaczył pobladłą twarz matki i usłyszał jej pokorne słowa.

— On już nie będzie się więcej sprzeciwiał paniczowi, on już popamięta. Pani dziedziczka ma wyrozumienie — i pocałowała ją kilkakrotnie w rękę.

Pani Czarkowska żachnęła się.

— A, nie, nie trzeba. Nie trzeba — i wyrywała swoją rękę, jakby z obrzydzeniem czy wstrętem.

— Te dzieci. — To nie o to chodzi. Już z dziećmi ona sama załatwi. Jak Janek nie potrafi być grzeczny, nie pozwoli mu więcej bawić się z swoim synkiem. Ale żeby tak zbić, skatować dziecko, na to ona nie może patrzeć. Trzeba być zwierzęciem, żeby tak bez litości... I jeżeli jeszcze raz coś podobnego... to ona już nie wie, ale da znać policji, czy co, bo to już przekroczyło wszelkie granice...

Stary Karolek, któremu wódka i tak szumiała mocno w głowie, nie mógł się zupełnie zorjentować o co gospodyni chodzi. Przyleciała ze skargą na chłopaka. Dobrze. Wiadomo — chłopak hycel. Jak chłopak — i tyle. Cholera! Musi się bić z gospodarskim szczeniakiem. Sprał go, żeby drugi raz nie śmiał, bo się bał o swoją stancję stróżowską. A tu masz. Jak zwierzę — powiada. Pijak — powiada. Wyrzuci — powiada. Jakby chłopaka nie sprał, dopieroby miał! A tak znowu co inne ij szkodzi. Cholera nie baba. W głowie się jejim miesza z bogactwa. Delikatne. Dziecka nie bić? To poco przyleciała z gębą?

Nieoczekiwane wstawiennictwo niedawnego wroga nie

wzruszyło Janka. O wiele bardziej przeraziła go myśl, że przez niego wyrzucą ojca. Już on wtedy będzie miał za swoje. Rany...

Ta myśl wywołała nowe wybuchy płaczu, aż przerażona pani Czarkowska poczęła go uspakajać, tem goręcej, że i Adaś już ryczał na podwórku nie wiele rozumiejąc z całej tej awantury.

Zakończyło się to wszystko pogodzeniem chłopców i wzięciem Janka na górę do mieszkania gospodarzy, gdzie w słodyczy ciastek z kremem utonęły bóle chłopca.

— Po takim to wszystko spływa jak woda — mówiła pani Czarkowska do męża, nie krępując się bynajmniej obecnością chłopców — je ciastko za ciastkiem i zupełnie zapomniał o tem co było przed chwilą. Gdyby Adasia tak zbito... Pomyśl tylko! Takie wrażliwe dziecko... Chybaby nie przeżył. A ten jakby nigdy nic...

— Z dziada pradziada przyzwyczajone toto do bicia, już się rodzi z twardszą skórą pod baty — zażartował pan Czarkowski.

Oczywiście tylko zażartował. Był przecież demokratą.

W tym momencie pułkownik Jan Karolak uświadomił sobie, że myśli po raz pierwszy w życiu w ten sposób o tych sprawach przeszłości. Skąd mu to nagle przyszło?

A, nie myśleć, nie pamiętać, nie wspominać! Nie, nie, nie!

Chciał się zatopić, ukryć w zwykłe, miękkie zadowolenie i wygodę bieżącego dnia i z niezadowoleniem, przerażeniem poczuł, że mu się to nie udaje. Niestety, jak wiadomo, pułkownik miał swój zły dzień i nagle poczęło mu się wydawać, że wszystko co robi jest bezcelowe, oczywiście, spowodu tego idjotycznego nazwiska.

Nazwisko było dla Jana zawsze pierwszym pretekstem, do którego przyczepiał swoje niezadowolenie. Ach, dlaczego nie zmienił go, kiedy go nikt tu nie znał, kiedy jeszcze był czas na to? Dlaczego? Nie mógł znieść, że demaskowało jego pochodzenie, że brzmiało tak nieznośnie po chamsku. Każde niepowodzenie na służbie, każdy zatarg czy nieporozumienie z ludźmi wiązał nieodmiennie ze swojem pochodzeniem proletarjackiem, uzmysłowionem w tem obrzydłem nazwisku.

Cóż z tego, że czasy były demokratyczne i że nikt, praw-

dę mówiąc nie zwracał uwagi na takie głupstwa, jak takie czy inne czyjeś pochodzenie.

— A może tak demokratyczne jak pan Czarkowski? — wzdrygnął się Jan.

Cóż z tego? Jan pamiętał o tem zbyt intensywnie, by móc nie dostrzegać takich np. drobiazgów, jak sygnet na czyimś palcu, noszony chyba tylko poto, aby jego, Karolaka upokorzyć, albo czyjś specjalnie dobry francuski akcent, świadczący o władaniu i posługiwaniu się tym językiem od dzieciństwa. Jan był drażliwy i podejrzliwy jak sędzia śledczy, ciągle na straży przez nikogo nie narażanej na szwank godności.

— Kompleks niższości, oczywiście — ale czy stwierdzenie tego może coś pomóc — pomyślał z goryczą. — I czy takie dzieciństwo i młodość jak moje, mogło nie wyrobić we mnie takiego aż poczucia niższości? I co teraz pomoże uświadomienie sobie tego? Teraz, kiedy jest już zapóźno, aby się zmienić, i nic już nie można cofnąć z tego co się stało.

Poczuł palącą, starą, znaną dobrze nienawiść do Czarkowskich za wszystko co od nich otrzymał. Za wszystkie dobra płacone upokorzeniem aż nadto, nadto hojnie.

Po raz pierwszy w życiu przyszło pułkownikowi Janowi Karolakowi na myśl, że może nie wygrał na tem porzuceniu swojej sfery i wspięciu się na wyższy szczebel hierarchji społecznej: że może byłby szczęśliwszy, gdyby pozostał wśród swoich, gdzie nicby nie musiał ukrywać z rzeczy, które się wogóle ukryć nie dają.

Ogarnęła go złość.

— Do djabła. Cokolwiekby zrobił, zawsze byłoby źle. Jak się już ktoś urodził nędzarzem, niema właściwie z tego wyjścia. Można udawać przed ludźmi, przed światem, ale przed sobą niema potrzeby. To już tak jest.

W tej chwili przemknęły mu przez myśl jakieś zdawna zapomniane frazesy — przecież tak to nazywał zawsze? — o innym ustroju, o dyktaturze proletarjatu, o... Ale czemprędzej odrzucił te myśli od siebie.

Nie. Tak daleko nie zaszedł jeszcze w swej samotnej rozpaczy pułkownik Jan Karolak.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Powrót

II.

To był jego pierwszy dzień w domu po powrocie. Nazajutrz przyglądał się ukradkiem matce.

Była w wyżebranych i zleżałych spódnicach za krótkich na nią lub za długich, w rozdeptanych pantoflach za obszernych w miejscach, gdzieby mogły być ciasne i za ciasnych w miejscach zgrubień nogi. Kilka razy wychodziła do sieni, stała w drzwiach, podnosiła głowę, jakby chciała coś powiedzieć do niego, wracała do izby. Józef nie wiedział, czy jest tam Marja. Potem rozmawiał z matką. Stał przed nią w tych swoich żółtych wypłowiałych spodniach, mówił prędko nie patrząc na nią, był zły. Nie widziała poza ciemnemi okularami jego oczu. Czego mógł chcieć? — nie wiedziała. Jak miał na imię jego ojciec? Nie, nie wiedziała tego. Nie rozumiała zbyt dobrze czego chce od niej Józef. Pamiętała przecież tylko tę stodołę przy drodze koło wsi. Wychodziła w nocy, zaraz za domem były krzaki i las, wąska dróżka pod gałęziami. Pamiętała tylko wołanie za nią matki: „Już wracaj". Wracając spotkała na drodze siostrę.

Nie mówiła tego jednak. Ubierała się, była już w drzwiach. Namyślała się, jeszcze tamto sobie przypominając i odwróciła się ,jakby chciała coś powiedzieć. Nie powiedziała jednak nic.

Po jej wyjściu został sam w mieszkaniu. Skręcił papierosa, zapalił go, zaglądał tu i owdzie w izbie. Nie zmieniło się tu nic od ostatniego czasu. W kącie stało drewniane łóżko, pod oknem stół i niezamknięty kuferek, w którym matka kiedyś trzymała swoje nieliczne wstążki i gdzie była ta stara fotografja młodego chłopca z napisem na odwrotnej stronie: „Szanownej pannie Julci — Felek". Chłopak mógł mieć dwadzieścia lat, miał czarne wąsiki podkręcone do góry i czarne wesołe oczy. Miał obcisłe miejskie ubranie, długie buty i czapkę zsuniętą na prawą stronę. Trzymał lewą rękę w kieszeni od spodni, w prawej dymiącego papierosa.

Kiedyś zdawało mu się, że może to być fotografja jego ojca.

Ale tego wieczoru byli w domu wszystko troje. Julja niespokojnie spała na swojem łóżku pod ścianą, mówiła przez sen, była w ubraniu, nakryta paltem. Marja rozbierając się przy swojem sienniku stała przed Józefem z podniesionemi przy zdejmowaniu bluzki ramionami, z brzuchem wypukłym pod koszulą i piersiami dopiero teraz odstającemi.

„Czy pamiętasz tę szopę na drodze"? — mówiła. Pytała o to i o owo. Coś jej odpowiadał, mówiła jeszcze do niego, kiedy wychodził. Gdy wyszedł powoli zaczęła naciągać na siebie z powrotem ubranie, by wyjść za nim. „Jakoś to tak do tego zmierzało oddawna, — mówił Józef. — Przeżyli przecież ze sobą tyle lat, mieli dzieci, mieszkali razem w jednem mieszkaniu, spali w jednem łóżku i tu ten dzień i ten wieczór"... W kilka chwil później Julja biegnąc na krzyk Marji minęła — Józefa za domem, schodzącego już do drogi. Szedł spiesznie mówiąc coś do siebie, potykał się o gałęzie i potykając się klął. Nie zatrzymywała się przy nim i nie poszła za nim. Nazajutrz, kiedy wyprowadzono ją z celi i kazano mówić, pokazywano jakiegoś człowieka, mówiła nie wiedząc dlaczego to mówi: „Tak, — to ten zabił Marję". Nie wiedziała też, czy wogóle Marja została zabita. Siedziała na ławce, przymykała ze zmęczenia oczy, chciała stąd już odejść. Zwolniono ją. Ktoś otworzył drzwi, podtrzymał ją, kiedy potknęła się w progu. Nie wróciła już do domu i tak to potem opowiadano.

Dom stał pustką. Przez kilka dni przychodziły tu kobiety ze wsi i z przedmieść, powynosiły z izby drobniejsze sprzęty. Któregoś dnia jednak przyszedł Andrzej, starszy brat Józefa, mieszkający w niedalekiej wsi. Rozpytywał ludzi ze wsi i z miasta, dowiedział się, że była tu jakaś kobieta i jakiś mężczyzna. To Andrzej zabił deskami z parkanu okno i drzwi. Potem wydeptana ścieżka zarosła trawą, butwiały do reszty komórki i parkan, woda na wiosnę naniosła na podwórze muły z rzeki. Nocowali tu jeszcze chłopcy pasący na zboczach w nocy konie, palili ognie przy domu. Zimujący w mieście włóczęga, chłopak z siną poodmrażaną twarzą pokrytą wysypką, szczupły, chudy, zatrzymał się tu przez zimę i przebył w domu do wiosny. Przyprowadzona któregoś dnia przez niego dziewczyna sypiała jeszcze w kącie izby, kiedy

przyszedł Benjamin. Była chora, leżała na sienniku, dała się karmić Benjaminowi. W kilka dni po Benjaminie przyszedł też Józef. Włóczył się po okolicy, nocował tutaj, wychodził do miasta po tytoń i naftę do lampy, wracając z miasta szedł na swój stryszek i leżał tam wieczorami z głową przy szybie w kącie pod dachem jak zawsze. Drogi zasypywał jeszcze śnieg, chwytały przymrozki, na dole były puste zaśnieżone zbocza, za zaroślami ciemniały pokryte śniegiem łąki. Na dole w izbie Benjamin mówił do dziewczyny jakieś swoje rzeczy, że dziś nie wyjdzie już albo że bolą go plecy albo że właśnie wychodzi do miasta. Skarżyła się, że brak jej czegoś, że jest jej zimno i Józef słyszał, jak Benjamin idzie do niej. „Teraz się nachyla“ — myślał. Wieczorem, kiedy zbocza ciemniały, schodził na dół. Wiedział już wszystko. Benjamin wyjmował z kieszeni swój skórzany stary portfel, z niego listy, dokumenty, fotografje. Dziewczyna leżała w swym kącie na łóżku, Józef dokręcał knot u lampy, Benjamin opowiadał między innemi o spotkaniu Marji wtedy w lesie, o tem jak rano szukali drogi do grobli i jak doszli do mostu i do wsi. Józef myślał o swoich ostatnich dniach tutaj i życiu od jego początku, włóczędze w dzieciństwie, kolei, pierwszych chłopcach spotkanych za miastem, pierwszem napotkanem mieście, o Marji, mieszkaniu „tam w Siedlcach“, i o dzieciach. Było pewne, że odejdzie już dziś jutro i nie wróci. Zwłóczył z tem jeszcze.

Potem przy jakiemś spotkaniu Benjamin tak opowiadał to wszystko Augustowi. „Więc tak“... — powiedział August i pomyślał już dla siebie, że oto został teraz sam. Nie żyje matka i brat i siostry, gdzieś poszedł ojciec. „No i została jeszcze ta Ludwika“. Kiedy ją sobie przypomniał poprawiał jakoś fantastycznie kapelusz, krzywił się i uśmiechał. Ludwika chodziła przecież po śmierci jego brata, po śmierci Stanisława w czarnym żałobnym welonie, Kiedy ją spotkał jednak w mieście, zamężną, szła za wózkiem dziecinnym. Była taka sama cienka i blada jak dawniej. Mijając go nie podniosła głowy i nie spojrzała na niego. „Lepiej jej nie spotykać“ — mówił do siebie.

Bezdomni

Wędrujemy, nabrzmiali od pytań — ludzkie oczy milczą,
[albo kłamią.
— Jaką drogę wyznaczyć wieczorem opuchniętym, zmęczo-
[nym stopom?
Idziemy, bezdomni, pod most, zwalić tobół dnia ze zgiętych
[ramion...
Miasto stawia nad nami rząd latarń — złoty wielokropek.

Fala z pluskiem o brzeg się obija...
Z pod filarów druga fala jej wtórzy...
— Uczyli kiedyś: „Świat jest duży".
„Ziemia jest Boża i niczyja".

Nieprawda! Wszystko jest c z y j e ś — wszystko jest obce!
Ręka w granatowym mundurze zewsząd jak psy nas
[wygania — —
Nam zostawili tylko wilgotny cień pod mostem
i kamień — kamień do spania!

Domy jak złote plastry sączą z okien światło miodem
[płynnym...
Nie nasze jest światło i ciepło, które woła i nęci zdala — —
Dla nas — głaz twardy i zimny
i wiatr, co chodzi po falach...

Czarne fale gonią fale bure...
Wszystkie drogi prowadzą nad wodę.
Idziemy bezszelestnym pochodem,
przesuwamy się cieniem po murach.

Cień bezsilnie spływa po szybach waszych mieszkań suchych
[i ciepłych,
nogi w zdartych buciorach nie zakłócą wam snu swoim
[stukiem...
Ale kiedyś — rozbije szyby nasz wzrok w kamień od gniewu
[skrzepły
i obudzi was, zbielałych z lęku, marsz potężny dudniący
[o bruki!

ALFRED ŁASZOWSKI

Reakcja przeciw awangardzie

Artykuł dyskusyjny

Zagadnienie rozwoju nowej liryki stało się w ostatnich czasach przedmiotem nader żywych dyskusyj, sporów i nieporozumień. Dążąc do uchwycenia ich istoty zmuszeni jesteśmy wyjaśnić zasadnicze różnice stanowisk, aby tem wyraźniej ujawniła się główna linja podziału społecznego.

Przeciwnicy wiersza awangardowego twierdzą, że ta poezja ze względu na swój charakter eksperymentalny stała się niezrozumiała dla szerokich mas, dzięki czemu straciła bliski kontakt z życiem społecznem i jego przeobrażeniami.

Jeżeli nawet usiłuje wyrażać emocje związane z walką klas, to czyni to w sposób tak dalece nowatorski, odkrywczy i śmiały, że przeciętny czytelnik nie może być pod wpływem tej lektury zdopingowany do bezpośredniego udziału w nadchodzącej rewolucji społecznej. Zdaniem tych panów istotny związek między podłożem socjalnem a literaturą sprowadza się więc do funkcji agitacyjnego wyrażania potrzeb i dążeń świata pracy walczącego o swoje wyzwolenie.

Wiersze powinny być pisane w sposób jasny, wyraźny bez objaśnień i komentarza teoretycznego.

W momencie ostatecznych rozstrzygnięć niema miejsca na eksperymenty formalne. Jedyną legitymacją wartości poetyckiej jest zdolność pobudzania mas do czynu.

Ów prostacko pojęty terror kryterjów społecznych nad literaturą jest w gruncie rzeczy demagogicznem nieporozumieniem, które płynie stąd, że epigoni pod fałszywym pozorem troski o uspołecznienie za wszelką cenę usiłują bronić zagrożonych fortów.

Reakcja znalazła sobie tutaj niesłychanie perfidną drogę przenikania, jak zwykle w imię ludu szerzy zastój w sztuce. Jej krytyka zdaje się nie widzieć, że między procesami przeobrażeń formalnych jakie obserwujemy w liryce eksperymentalnej a tem co równocześnie odbywa się na podłożu warunków rzeczowych, zachodzi ścisły nieledwie funkcjonalny związek i całkowita synchronizacja usiłowań.

Znalezienie owej więzi łączącej dany fragment nadbudowy z bazą równa się mniejwięcej wykazaniu organicznej

nieledwie zależności istniejącej między podłożem rzeczowem a jego równoważnem przedłużeniem w sztuce.

Ten kierunek dociekań krytyki marksowskiej wiąże się z logiczną koniecznością ustalenia niewątpliwych sprawdzianów które umożliwiłyby nam czynność precyzyjnego rozróżniania prawdziwych i pozornych związków.

Konkretnie. Po czem właściwie możemy poznać, że dany wiersz jest istotnym wyrazem przemian dokonywujących się na gruncie układu sił społeczno-gospodarczych.

Pseudo - lewicowa krytyka literacka nie umie zazwyczaj dostrzegać trudności wyrastających z tego zagadnienia. Dla niej poezja traktująca o krzywdzie rewolucji i nowym ustroju wyraża aktualne dążenia klasy robotniczej przedewszystkiem ze względu na treść i tutaj niestety znajduje się źródło najsmętniejszego pomieszania pojęć.

Skutkiem tego pierwsze lepsze ujadanie przeciw burżuazji i kapitalizmowi uchodzi w oczach dyletantów za paszport związku z życiem i mówi się, że to właśnie jest bliskie, bo trysnęło żywym ogniem z krzywdy i woła o dzień odwetu. Aby ów pozór odrazu wyraźnie zdemaskować spróbujmy pomyśleć raz nad takim dylematem. Czy jest rzeczą właściwą i słuszną, aby dynamika żywych potrzeb zbiorowości zakuwana była w kataryniarskie formy przebrzmiałych dawno strof i zwrotek.

Z naszego stanowiska oczywiście — nie. Uważamy bowiem, że ten odłam liryki „proletarjackiej", który w imię rzekomej popularności konserwuje burżuazyjną tromtadrację epoki mieszczańskiej, uprawia tem samem zwykłą dywersję kulturalną i zamiast organizować typ wrażliwości prostego człowieka na drodze samorodnej i naprawdę twórczej, wdraża go do spóźnionego odczuwania reakcyjnych rytmów.

Wszak u nas byle epigon chadza w kieracie propagandy rymowanej na masowy akord! Jego kataryniarstwa opatrzone zostają przysłowiem: Cel uświęca środki—i tak nieuczciwi lansują rupiecie, wszelkiego rodzaju impotencja kwitnie, pleni się zły smak, mimo że małpiarstwa i wtórności żadne hasło okupić nie zdoła.

To zdradzieckie wypaczanie gustu rzesz na wszelkiego rodzaju podróbkach i falsyfikatach zjełczałej liryki miesz-

czańskiej jest bardziej szkodliwe, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało.

Życie emocjonalne proletarjusza zrodzone na gruncie jego potrzeb i dążeń klasowych chce odnaleźć sobie choćby w poezji stosowanej pewien wzór rytmiczny, dlatego też nie godzi się kształtować czerwonej fali jego uczuć na podobieństwo brzmienia sytych czasów. Rymowanie programów i haseł na modłę Syrokomli czy Lenartowicza może coprawda chwilowo okazać się skuteczne ze względu na osiągnięty stopień wzruszenia u słuchaczy mało wyrafinowanych, ale mimo to jest zawsze objawem pasorzytowania na zużytych schematach formalnych. Tak zwane treści społeczne mają to do siebie, że odrazu robi się z nich szereg haseł i wtedy jakże często mamy do czynienia z uporczywem i mechanicznem obnudzaniem tych samych tematów. Jeśli równocześnie usiłowania poetów nie idą w kierunku szukania nowych form ekspresji, sfora liryzujących pachołków burżuazji urządza jakiś potworny jarmark rymów, aby zneutralizować działanie żywej treści przy pomocy środków cierpiących wręcz na uwiąd starczy. Faktem jest, że dziś o walce proletarjatu z ustrojem kapitalistycznym pisze już co drugi rymarz, bo nie wypada mu już poprostu być bez zdania w kwestji społecznej", byle dureń umie „krwawić" w strofkach, snobów także zdołało poruszyć — coraz częściej wskazują na serce.

Ta powszechność, nagminność i coraz bardziej stereotypowy wydźwięk rozpaczy i buntu rymowanych serjami na akord w samej rzeczy, działa przeciw Sprawie Burżuazji, napewno zależy także na tem, aby nienawiść do niej skierowana przez jej własną sączyła się formę. Niech się inteligencja wypisze i wykrzyczy, owszem stworzyć jej jaknajwięcej placówek i pism, niech przez ciągłe wałkowanie oklepanej melodyjki w kółko wyprują z niej stopniowo ładunek emocji, aż to co było czerwone i żywe w ustach partaczy zacznie gnić i nudzić. Na tem właśnie polega dywersyjna rola lewego frazesu, że ze spraw historycznie najważniejszych uczynić potrafi tępą piłę, przez to, że bezustannie powtarza to samo tak samo, na jeden wyświechtany sposób.

Twórcy poezji awangardowej zrozumieli, że udział w zgiełku maruderów, którzy przez swe epigoństwo nie

potrafią stać się wielkim głosem, dziejów ich ambicji zaspokoić naprawdę nie zdoła.

Oni wiedzą, że zadaniem dobrej poezji społecznej jest przedewszystkiem wypowiedzieć w nowej formie to, co choć prawdziwe i słuszne w ustach niezdary brzmi jak „oderżnięty“ truizm. Skoro pewne zjawiska są bolączką powszechną i codziennie znaną, należy baczyć, by słowa ich dotykające za sprawą odkrywczej poezji, nieustannego doznawały odnowienia, by to co w prostackiej i banalnej formie zawrzeć potrafi każdy napotkany człowiek pomnożone zostało *w skuteczności artystycznej i propagandowej.*

Przecież fakt że mamy u siebie głód, nędzę, bezrobocie i wyzysk w kategorjach literackich nie wzrusza, gdy jest źle sformułowane! Jeszcze trochę, a szablon przyrośnie do bolesnych nazw, emocja w starych zwrotach wypali się.

Stąd też doniosłość eksperymentalnych poszukiwań w sferze liryki lekceważyć mogą tylko krótkowzroczni, którzy zdarte grzbiety spraw niesłusznie mienią ich obliczem. Wielkim przeobrażeniom społecznym towarzyszyć musi wytężona praca nowatorów, aby język nasz potrafił wydarzeniom sprostać. Droga do ukształtowania własnych środków, ekspresji może na pewnym etapie wieść przez niezrozumialstwo, ale to bynajmniej nie znaczy, aby całość wolno było odcinkami przesądzać i mierzyć. Dziś epokę rebusów i zagadek mamy już właściwie poza sobą, czas więc najwyższy zlikwidować legendę o niedostępności poezji awangardy.

W miarę jak rozpowszechnia się wiedza o metodach budowania wierszy, stają się one znacznie jaśniejsze od starych. Ostatni tom Przybosia a zwłaszcza jego liryki społeczne są wyrazem świadomego dążenia ku prostocie i były już deklamowane z powodzeniem na terenie robotniczych świetlic.

Wiemy komu zależy na rozsiewaniu sugestji już nieaktualnych i kłamliwych, nie dziwił nas podstępny artykuł p. Ocheduszki ani ordynarna prowokacja Piechala w młodo legjonowej gazecie artystów. Przez nich wyszła na jaw chęć sprowadzenia ambitnych usiłowań do poziomu ulicy, aby kiedyś nie stały się groźniejszemi przez nowość.

Awangarda w osobach najlepszych swych przedstawicieli nigdy nie pójdzie na lep prostactwa i kompromisu w sferze usiłowań formalnych ponieważ wie, że tylko dzięki nim zdolna jest sprostać współczesności bez reszty.

LUDWIK ZANO

Rzeczywistość w filmie mieszczańskim

Film beletrystyczny przetwarza rzeczywistość, bo ścisłe tylko odtwarzanie jej byłoby fotografją, a nie filmem, nie beletrystyką. W przetwarzaniu rzeczywistości ma film teoretycznie dwie możliwe drogi: jedna to realizm, ścisłe trzymanie się rzeczywistości, które od odtwarzania różni się artystycznem jej skondensowaniem, druga to deformowanie rzeczywistości, którego efektem jest film fantastyczny.

Film fantastyczny — po nieudanych próbach jeszcze niemieckiego ekspresjonizmu — to dziś albo rzadki film eksperymentalny, albo film groteskowy, najczęściej rysowany, a oba interesują widza tylko jako krótkometrażowe dodatki i nie mogą zapełnić ani programów kinowych, ani kas wytwórni filmowych. Główną więc drogą dla filmu jest pierwsza, realistyczna, droga wiązania filmu z rzeczywistością. Wymaga ona od tego rodzaju filmów ścisłego umiejscowienia akcji w czasie i w przestrzeni i ścisłego trzymania się warunków przez czas i miejsce podyktowanych. W obecnych stosunkach jest to droga sztuki proletarjackiej, główny szlak filmu sowieckiego. Kinematografja mieszczańska jest ograniczona w możliwościach wiązania filmu z rzeczywistością. Wszelka sztuka mieszczańska ma dziś, obok propagandy reakcyjnych w treści a metafizycznych w formie ideologijek, za zadanie odwracanie uwagi swoich odbiorców od piekących problemów życia codziennego. Nakazy te odnoszą się w najpełniejszeń mierze do kinematografji, bo i film jest najniebezpieczniejszy, gdyż do widza najbardziej przemawia, i kapitał ma tu największą możność kontroli, film jest bowiem najbardziej zindustrjalizowanym działem szuki.

Film realistyczny należycie nieumiejscowiony, nie daje żądanych efektów. Widz, jeżeli nawet nie zauważa, to odczuwa, fałszerze, przemilczenia, braki te mu przeszkadzają i film nie może mu dać pełni wzruszeń. Poza tem odbija się to prawie zawsze i na fabule jakimś nieuzasadnionym skokiem, a nieraz nielogicznością, albo i grubym nonsensem. Kinomatografja mieszczańska musi więc znajdować sobie wąskie przejścia wyjść pośrednich, gdzieby poprawki rzeczywistości jak najmniej raziły i stąd jej brak tematów, bezustanne powtarzanie się, krążenie wokół kilku nielicznych punktów i ucieczka od współczesności.

Z siedemnastu filmów produkcji mieszczańskiej, które oglądaliśmy ostatnio, było sześć komedyj muzycznych, sześć filmów historycznych, a z pięciu filmów współczesnych dwa rozgrywały się w środowisku pośredniem między miljonerami a bandytami, jeden na peryferjach, jeden na Jawie i zaledwie jeden — zeszłorocznej produkcji — wśród zwykłych ludzi i codziennych spraw.

Ten film właśnie — „I cóż dalej, szary człowieku?“ — mógłby służyć jako klasyczny przykład ilustrujący dwie nasze tezy: że film mieszczański nie może ściśle trzymać się współczesnej rzeczywistości i że film realistyczny, niezwiązany całkiem ściśle z rzeczywistością, nie może być pełnowartościowy.

Gdyby we filmie tę rzeczywistość ściśle przetworzono, skondensowano jej cechy charakterystyczne, to i bez wyciągania jakichś wniosków oddziałanoby na widza rewolucyjnie, zwiększonoby niebezpieczeństwo, że sam sobie wnioski urobi. Dlatego też w tym filmie rzeczywistości nie przetworzono wiernie i kondensująco.

W takiem ujęciu film wypadł zdecydowanie źle, widz zdawał sobie sprawę, że film go oszukuje, mydli oczy. Jeżeli film mimo to miał powodzenie, to nie było ono zasługą jego nieistniejących walorów, ale atrakcyjności poruszonego tematu, który mimo wszystkie tusze i retusze w kilku nielicznych i krótkich momentach stawał wpoprzek ekranu czerwonym nieomal wykrzyknikiem.

„I cóż dalej, szary człowieku“ nie miał też naśladownictw, jest zupełnym, chociaż zrozumiałym, wyjątkiem na rynku

filmowym. Tosamo mniejwięcej dałoby się powiedzieć o filmie „Przedmieście“.

Kinematografja mieszczańska ucieka, musi uciekać od współczesnej, naszej rzeczywistości, a nie mogąc jej całkowicie porzucić zmuszona posługiwać się nią — znajduje sobie boczne drogi, które w konsekwencji prowadzą wdół.

Jedną z takich najbardziej uczęszczanych bocznych dróg jest komedja muzyczna.

Rzeczywistość współczesna nieroztańczona w komedjach muzycznych, rzeczywistość krajów t. zw. cywilizowanych, rzeczywistość nasza pozostawia kinematografji mieszczańskiej minimalne możliwości.

Filmy o miljonerach, o gansterach i t. p. należą do filmów z pozorów realistycznych, których powiązanie z rzeczywistością jest już fikcyjne. Próby powetowania tego braku przez frapowanie widza detektywistycznemi łamigłówkami lub spekulacją na jego snobistyczną ciekawość dla wyższych sfer — również nie prowadzą do celu. Zresztą filmy te możnaby pominąć przy rozważaniach film artystyczny mających za przedmiot.

Pominąć w tych rozważaniach możnaby było i komedje muzyczne; widowiskowy, wyłącznie optyczno-słuchowy charakter tych kinorewij odbiera im cechy, które znamionują właściwy film beletrystyczny, albo też spychają te cechy na dalszy plan.

Kinematografji mieszczańskiej pozostaje rzeczywistość daleka, mniej lub więcej obca widzowi, daleka w przestrzeni lub w czasie. Temu mieliśmy do zawdzięczenia długą serję filmów egzotycznych, które wymagały tylko dyskretnego niedoświetlenia pewnych kolonjalnych realjów, ale dawały zato możliwości przyrody — fauny i flory — i folkloru. Przemilczenia widza mniej raziły, nie znał terenu w którym film się rozgrywał i mógł spokojnie wszystko przyjąć za dobrą monetę. Gorsze było, że te filmy się upatrzyły, przejadły, do czego przyczyniła się doczepiana do nich, oczywiście trójkątna, fabuła i jej nikłe, albo zgoła żadne powiązanie z tłem. Tylko w całkiem wyjątkowo dobrych filmach tego rodzaju („Amok“) powiązanie to było ściślejsze, ale też niezupełne i niewolne od wad.

Drugim rodzajem filmów opartych na odległej, mniej zna-

nej rzeczywistości są filmy historyczne, których produkcja na większą skalę rozpoczęła się zeszłego roku, kiedy filmy egzotyczne zaczęły padać. Kinematografja mieszczańska nie może i historycznej rzeczywistości przedstawić prawdziwie, ale widz nie dostrzega poprawek, trudniej sobie zdaje z nich sprawę. I obecnie jesteśmy świadkami istnego zalania rynku filmami historycznemi, zwłaszcza z drugiej połowy XIX wieku i pierwszych lat bieżącego stulecia.

Widz żąda jednak współczesności, współczesność go najbardziej zajmuje i to musi być uwzględnione w kalkulacjach wszystkich paramountów. W dodatku istnieje konkurencja filmów sowieckich, konkurencja hamowana wprawdzie cenzurą, ale konkurencja, która raczy widza całkiem niehistorycznemi turbinami, a gdy daje historję, to też inną i w powiązaniu z współczesnością. Wobec tego wybiera się okresy historyczne jaknajmniej odległe, najbardziej współczesność przypominające, ale dla mieszczańskich aparatów filmowych jeszcze fotogeniczne. Takim historycznym okresem o współczesność się zazębiającym jest wojna 1914—1918. Tematy wojenne cieszą się też nie od dziś dużem wzięciem mieszczańskich wytwórni. Są one prawie współczesne, a nie grożą żadnym problemem bezrobocia, rzędy, ich zaś swoisty problem, problem wojny zasłania się pacyfikacyjną mgiełką.

To jest tworzywo mieszczańskiego kina: rzeczywistość miniona, rzeczywistość daleka albo rzeczywistość wyjątkowa. I to jest przyczyna marazmu, upadku kinomatografji mieszczańskiej. Przyczyna tem trudniejsza do usunięcia, że właściwie, korzeniami swemi leżąca poza filmem.

NA LICZNE ZAPYTANIA O BRAK Nr. 4 WYJAŚNIAMY: SPOWODU KONFISKATY Nr. 4 WYDANY ZOSTAŁ DRUGI NAKŁAD TEGO NUMERU, OZNACZONY Nr. 5-YM.

OBSERVER

„Przemysł bez sentymentów i nacjonalizmów"

Na wiosnę roku 1932-go jedno z pism socjalistycznych doniosło w korespondencji z Genewy, że podczas nadzwyczajnej sesji Ligi Narodów, zwołanej dla zażegnania wojny chińsko-japońskiej, zachowanie przedstawicieli państw europejskich sprawia dziwne wrażenie: dyplomaci ci prawie nie zabierali głosu na posiedzeniach. Przyczyny takiego zachowania korespondent pisma dopatrywał się w okoliczności, że obie zwaśnione strony, zarówno Chiny, jak Japonja, poczyniły znaczne zamówienia sprzętu wojennego w wytwórniach broni i amunicji w Anglji, Belgji, Niemczech, Czechosłowacji, Francji, Polsce. Z portów europejskich i amerykańskich odchodziły wówczas na Daleki Wschód ładunki broni, amunicji i chemikaljów. W porcie hamburskim zauważono wzmożony eksport... „fortepjanów".

Na tle jednoczesnego zaopatrywania obydwóch walczących ze sobą państw w przedmioty uzbrojenia dochodziło do komicznych w swym tragizmie zdarzeń. Morgan Jones, członek angielskiej Izby Gmin z ramienia Labour Party, opowiedział na posiedzeniu plenarnem w dn. 28 lutego 1933 roku o następującem spotkaniu: do jednego z angielskich przedsiębiorstw uzbrojeniowych zgłosili się w tym samym czasie przedstawiciele rządu chińskiego i japońskiego, gdyż fabryka wykonywała dla nich zamówienia. Gdy spotkali się w biurze dyrektora wytwórni, nie uchylali się bynajmniej od rozmowy, lecz przeciwnie, wyzyskali ją skwapliwie do porównania cen, żądanych przez przedsiębiorcę. Wynik był taki, że wytwórnia broni musiała zredukować cenę kontrahentom o 40%.

Stosunek do Japonji i Chin nie jest zjawiskiem odosobnionem.

Podobnie postępowały przodujące państwa świata dzisiejszego względem Paragwaju i Boliwji. Walczyły one rzekomo o posiadanie puszcz Gran Chaco, a w istocie rozgrywały zleconą im przez Anglję i Stany Zjednoczone partję o złoża nafty.

Przypomnijmy jeszcze czytelnikowi, że w tym samym czasie w Genewie obradowała sławetna Komisja Rozbrojeniowa, w której misję wierzyli naprawdę bodaj że tylko jej przewodniczący, szczery fanatyk idei rozbrojenia — Artur Henderson.

Obłuda ta i zakłamanie jest nieodłącznym towarzyszem wszystkich współczesnych zatargów zbrojnych, zarówno tych, co już wybuchły po wojnie światowej, jak i tych, które dopiero dojrzewają. Pisma doniosły niedawno, że prasa urzędowa włoska entuzjastycznie powitała oświadczenie Polski, że nie będzie zaopatrywała Abisynji w broń. Tego samego nieomal dnia przeczytaliśmy w gazetach wiadomość, że generalny dyrektor fabryki broni w Hirsenbergu (Austrja), p. Mandl, mąż zaufania i agent Mussoliniego w polityce austrjackiej, nie brzydzi się wcale dostarczania broni dla cesarza Haile Selassiego.

Jest to naprawdę „przemysł bez sentymentów i nacjonalizmów", jak go w rzeczywistym czy też urojonym wywiadzie prasowym trafnie określił jeden z rycerzy tego przemysłu, trudniący się obecnie przemycaniem broni do Abisynji.

Będąc nietylko międzynarodowym, lecz nawskroś kosmopolitycznym, przemysł uzbrojenia, żegluje na wietrze nacjonalizmu, podżega do konfliktów zbrojnych, rozdmuchuje zatargi pomiędzy narodami, gdyż z tego czerpie soki żywotne. Ponieważ jest to przemysł, doskonale prosperujący w okresie powszechnego zastoju kryzysowego, tem bardziej przykuwa uwagę ogółu. Usiłuje on działać w ukryciu, a niełatwo było mu wydrzeć jego tajemnice.

Dużo już zdziałano w tym kierunku w ostatnich czasach. Ale dalecy jesteśmy od myśli o socjologicznych rozważaniach na ten temat. Kiedyindziej powrócimy jeszcze do tego wątku ciekawych niewątpliwie roztrząsań, wymagających innego ujęcia i zakresu.

Tutaj chodzi nam jedynie o zwrócenie uwagi na nową pracę o krwawym przemyśle i handlu, która świeżo ukazała się w przekładzie polskim*). Dwaj radykalni publicyści amerykańscy zebrali sumiennie i skrupulatnie dużo materjału o „handlarzach śmierci" (znanego w znacznej części już przedtem z innych prac publicystycznych) i dali czytelnikom pokaźny tom, stanowiący *„a Study of International Armament Industry"*. Oryginał książki ukazał się w końcu roku 1934-go. Czas teraz szybko bieży: żyjemy niby w jakimś kalejdoskopie ciągłych zmian. We wrześniu ubiegłego roku rozpoczęła swą działalność komisja Senatu Stanów Zjednoczonych A. P. pod przewodnictwem senatora Nye. Komisja na jawnych posiedzeniach zebrała olbrzymi materjał, świadczący niezbicie o przeciwdziałaniu projektowanej przez Ligę Narodów kontroli prywatnej produkcji i handlu bronią, o korupcji, upra-

---

*) *H. C. Engelbrecht i F. C. Hanigtren.* Handlarze śmierci. Zarys rozwoju handlu i przemysłu wojennego. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Przekład A. Dobrota.

wianej przez przemysł uzbrojenia, o podziale rynków zbytu i istnieniu trwałej wspólnoty interesów pomiędzy amerykańskiemi, angielskiemi i niemieckiemi fabrykami uzbrojenia. Również i Anglja powołała do życia podobną komisję parlamentarną. Otóż rewelacyjne materjały, zebrane przez te komisje, nie mogły się już znaleźć w książce amerykańskich publicystów, ciekawej niezwykle zwłaszcza w historycznej części. Trudno też o to mieć żal do autorów. Można go natomiast mieć do tłumacza, który, zamiast zbędnych „przypisów“, mógłby uzupełnić przełożoną książkę najświeższemi danemi. Na str. 33-ej tłumacz zamieszcza np. bałamutną informację o szagunacie japońskim, podczas gdy na str. 261-ej autorowie dają wierną i trafną definicję tej instytucji. O polszczyźnie przekładu niechaj świadczą następujące próbki: „Ciągłe ulepszenia spowodowały istnienie wielkiej ilości broni przestarzałej“ (str. 69). „Stara broń posiada zresztą i poza polowaniem dużo zastosowania“ (str. 74).

Mimo braków językowych przekładu, książka ma dużą wartość, zwłaszcza jako znakomity podręczny zbiór materjału, doskonale udokumentowanego i zręcznie usystematyzowanego.

P. S. Żałować też należy, że książki nie zaopatrzono w bibljografję polską przedmiotu. Postaramy się tu wyręczyć wydawnictwo:

1. *Gustaw Myers,* Jak się dochodzi do wielkich fortun. Bibljoteka Dzieł Wyborowych, Warszawa, (1905?).

2. *Morus,* Człowiek w cieniu (życiorys Zacharowa), S-ka Wyd. „Bibljon“, Warszawa, 1930.

3. *Otto Lechmann-Ruszbüldt,* Za kulisami wojny, T-wo Wyd. „Światło“, Warszawa, 1932.

4. *Borerley Nichols,* Dzwon na trwogę. T-wo Wyd. „Rój“, Warszawa, 1934.

5. *K. Wrzos,* Kiedy znowu wojna? W-wa, 1934.

6. *Aleksander Bregman,* Za kulisami prasy francuskiej. Serja artykułów w „Gazecie Polskiej“ z 26. VII., 27. VII., 28. VII., 30. VII., 2. VIII. 1934 r.

B. Dr.

Socjalizm sui generis

47 stron, spis rzeczy, dedykacja huczna, przedmowa, a w niej oświadcza autor, Artur Hausner ze Lwowa krótko:

„Opracowałem plan, który ma sprostać potrzebom gospodarki polskiej, a więc rozwiązać kwestję bezrobocia i stworzyć nowe podstawy gospodarki“ st. X.

Broszura Hausnera to właściwie skrót „większej, mniej więcej 200-stronicowej książki“, którą zamierza wydać, pod.. niepretensjonalnym tytułem: „Przezwyciężenie kryzysu“.

Damy czytelnikom kilka cytat nadających się do socjalistycznej camera obscura. I na cytatach można zakończyć. Nie trzeba dodawać komentarzy, nie warto polemizować.

I. Samo słowo „planowa gospodarka“ wywołać może w opinji niebardzo przyjemne reminiscencje. Mamy wszakże sąsiada, który „Planowo“ urządził dawne państwo carów... ale czy dlatego planowość w gospodarce ma tracić automatycznie sens?“ str. IV.

II. Jak z głosów tych widać (prof. Stan. *Grabskiego*, Dr. Młynarskiego, Ks. Rostworowskiego, arcybiskupa *Teodorowicza* i t. d. Przyp. bd.) uprzedzeń tych ludzi do form gospodarki nie należałoby przewidywać, naturalnie, o ile *głosy te są szczere, w co wątpić nie można*“. str. XI.

III. „Nie załamał się bowiem ustrój kapitalistyczny, a załamała się pewna forma kapitalizmu“, str. 15.

IV. „Toteż jednym z elementów tego programu musi być hasło Dr. Schachta (gubernatora Reichsbanku — przyp. bd.): zobowiązania *zawsze* płacić *będziemy* (kto my? przyp. bd.) ale towarem, o ile za nasz towar otrzymamy surowiec. Polska (dzisiejsza? przyp. red.) ma to prawo, gdyż w zupełnie innych warunkach zobowiązania na siebie brała“. str. 18.

V. „Dla Polski jest ten plan (Hausnera — przyp. bd.) kwestją jej bytu i rozwoju. I gdy społeczeństwo polskie to zrozumie i, powiedzmy *od dziś* (podkreślenie Hausnera) zacznie plan realizować, to za 10 lat zmieni się Polska do niepoznania. Chciałbym, aby tę rolę czynnika uświadamiającego wzięła na siebie P. P. S.“. str. 31.

VI. Dlatego następnym elementem programu będzie *wykupno* kopalń węgla, przejęcie złóż węglowych i naftowych przez państwo. Wykupić je będzie można za obligacje w ciągu lat 50, płatne 5% wraz z amortyzacją, albo towarem". str. 32.

VII. „Plan nasz obejmuje interesy ¾ naszego społeczeństwa. Powiemy klasom średnim i chłopom, dlaczego walka z bezrobociem leży w ich interesie. Zwracamy się do ludzi, *nie do partyj.* (Bezpartyjny blok? Przyp. bd.) Do ludzi, biorących na serjo ideały, któremi te partje się maskują. Szczerym liberałom powiemy: szukacie syntezy między inicjatywą indywidualną a solidarnością ludzką — nasz plan ją tworzy. I to wszystko za jedne 25 gr. (przyp. bd.). Szczerym katolikom powiemy: przyjmijcie nasz plan, gdyż godzi w potęgę pieniądza, potępioną przez papieskie encykliki Chrześcijańskim związkom zawodowym zaproponujemy realizację planu — *jeśli odrzucą, nie mamy z nimi o czem mówić.* Jeśli przyjmą, gotowi jesteśmy omówić, jak usunąć drugorzędne rozbieżności, tyczące się planu". str. 43.

Na zakończenie najlepszy ustęp:

„Polska stanie przed zagadnieniem, co zrobić z przyrostem ludności? Narzucałoby się zagadnienie *kolonji* (podkreślenie Hausnera), które ww opinji polskiej są czemś dalekiem, a co mówić, jak są dalekie w opinji obozu socjalistycznego? *Mojem zdaniem, niesłusznie* (podkreślenie bd.). Naturalnie nie będziemy o kolonję prowadzić wojny (no! na szczęście — przyp. bd.) ale, jeżeli chodzi o prawo formalne, to mielibyśmy je z tytułu powrotu zaboru niemieckiego w granice państwa polskiego, na którą to część przypaść nam może część kolonji, które zabrała Anglja. Postulat taki wysuwał swego czasu w Sejmie Dąbal (gdy był jeszcze Okoniowcem — przyp. bd.). Ośmieszono go, mojem zdaniem niesłusznie. Dziś tego rodzaju postulat byłby bardziej zrozumiałym i t. d. i t. d.". str. 37.

Papier jest cierpliwy, jeszcze cierpliwsza jest partja, która dopuszcza do taikego kompromitowania jej. To że ktoś uważa się za socjalistę, nie wystarcza, by był reprezentantem poważnej partji.

Migawki

Regulamin więzienny dla więźniów politycznych we Francji

Ogólny regulamin więzienny we Francji jest naogół dosyć surowy i pobyt w więzieniu — uciążliwy, głównie ze względu na to, że więzień nie buduje się prawie wcale, inwestuje się bowiem kredyty publiczne w innych objektach, a przeto gmachy więzienne nie odpowiadają naogół nowoczesnym wymaganiom polityki feniturcjalnej. Jednak różne bajeczki, ostatnio nader rozpowszechniane w pewnego gatunku prasie o okrucieństwach i straszliwych warunkach pobytu w więzieniach francuskich — są absolutnie kłamliwe, przynajmniej jeśli chodzi o metropolję. W niejednym kraju więzień mógłby śmiało pozazdrościć warunków karnych swych francuskich towarzyszy niedoli. A już zgoła jeśli chodzi o więźniów politycznych. Tradycyjny we Francji respekt dla swobody ludzkiego sumienia i przyrodzonych (pokutująca jeszcze koncepcja encyklopedystów) praw człowieka swobodnego kształtowania swych poglądów i idej i dawania temu ich rzeczywistego wyrazu — znakomicie się odzwierciedla w specjalnym regulaminie więziennym, przewidzianym dla więźniów politycznych. Zaznaczyć należy przedewszystkiem, że na terytorjum Francji (metropolji) liczba więźniów politycznych nie przekracza liczby kilkudziesięciu — najsurowsza kara — jednego roku i to jedynie w wypadkach specjalnie ciężkich, jak np. podżeganie wojska do buntu i t. p. Wedle regulaminu więzień polityczny ma celę w dzień otwartą i może dowolnie korzystać ze swobody poruszania się w obrębie terytorjum więziennego. Oczywiście korzysta z własnej garderoby, bielizny, pościeli i t. p. Nie jest absolutnie ograniczony w korzystaniu z prasy i książek, może dowolnie korespondować, pisywać artykuły, prace naukowe etc. Przy wejściu do więzienia więzień przedkłada władzom listę osób, które życzy sobie, aby go odwiedzały. Nie może ona przekraczać 32 nazwisk. Odwiedzanie więźniów jest najzupełniej dowolne od południa do godziny 7-ej wieczór. Czas trwania wizyty i ilość jednoczesna odwiedzających jest nieograniczo-

na i nie podlegają one żadnej kontroli ze strony władz. Jest rzeczą notorycznie znaną, że gdy w roku 1929 część członków komitetu centralnego partji komunistycznej została osadzona w więzieniu pod zarzutem zdrady stanu (postępowanie zostało następnie umorzone), do cel aresztowanych przychodzili pozostali członkowie centralnego komitetu (za wiedzą, oczywiście, władz) i w celi Marty'ego odbywały się formalne posiedzenia tegoż komitetu. W tymże czasie Marty z celi więziennej pisywał codzienne artykuły wstępne do Humanité. Wyżywienie więźnia politycznego również nic nie pozostawia do życzenia, gdyż na cel ten przeznacza państwo 18 franków dziennie, i więzień za tę sumę otrzymuje dwa razy dziennie ciepłe posiłki z 3 dań i kawy. Oczywiście więzień zupełnie nie jest krępowany w dożywianiu się od zewnątrz na koszt własny i może nawet zlecić sprowadzanie sobie stale posiłków z restauracji. Oczywiście w kolonjach sytuacja jest o wiele gorsza.

Komitet czujności Intelektualistów

W Paryżu powstał t. zw. Komitet Czujności Intelektualistów (Comité de vigilance des intellectuels). Wydał on ostatnio manifest do intelektualistów całego świata z wezwaniem przystąpienia do organizowania oddziałów Komitetu w poszczególnych krajach. Manifest podpisało 70 najwybitniejszych uczonych — reprezentantów 13 narodowości. Prezesem Komitetu jest znakomity etnolog prof. Rivet z Paryża, członek partji socjalistycznej, ostatnio triumfalnie wybrany na radnego m. Paryża jako ogólny kandydat antyfaszystowski (od komunistów poczynając, a kończąc na umiarkowanych radykałach). Zadaniem Komitetu jest obrona kultury, wolności i pokoju, walka z wszelką reakcją i podżeganiami wojennemi. Metody walki i działania uzależnione są od warunków poszczególnych krajów. Do Komitetu należą najwybitniejsi uczeni, poczynając od komunistów, a kończąc na umiarkowanych postępowcach. Centrala mieści się w Paryżu. Oddziały krajowe zostały już założone w Brukseli, Londynie, Madrycie, Barcelonie i Genewie. Czynności organizacyjne zostały już rozpoczęte w Sztokholmie, Kopenhadze, Amsterdamie, Pradze, Bukareszcie, Nowym Jorku, Rio de Janeiro, Buenos Aires i Melbourne.

JAN BURY

Przegląd książek i czasopism

Hertz Aleksander. Główne kierunki społeczno-polityczne a ruch oświatowy. Warszawa, 1935. Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny, str. 71.

Książka o charakterze informacyjno-podręcznikowym. 1. Ideologja liberalizmu. 2. Ideologja zbiorowości. Hegel. Comte. 3. Ideologja nacjonalizmu. 4. Ideologja faszyzmu. 5. Ideologja marksowska. 6. Ideały demokracji, a ruch oświatowy.

Iwasiewicz Jan. Bezdroża Rosji Sowieckiej. Warszawa, 1935 r. Gebethner i Wolff. str. 66.

Wrażenia z podróży po Z. S. R. R. — Warunki podróży. Propaganda komunistyczna. Walka z religją. Sztuka i kultura. Praca. Wytwórczość przemysłowa. Handel. Mieszkanie i życie. Statystyka i humorystyka. Stosunki rolnicze. Ogólne wrażenie jak najgorsze dla Z. S. R. R.

...*Kapitalizm a socjalizm i rolnictwo.* Warszawa, 1935. Tow. Wyd. Młodych Prawników i Ekonomistów. str. 42.

2 1. Tadeusz Świda: Rolnictwo w ustroju kapitalistycznym. — Upośledzenie rolnictwa. Zygmunt Czerwijowski: Rolnictwo w ustroju socjalistycznym. Rosja Sowiecka. — Wywody antysocjalistyczne, wskazujące na ruinę rolnictwa w Rosji.

Klarner Czesław. U podstaw bezrobocia. Warszawa, 1935. Nakł. autora. Skład gł. Izba Przemysłowo-Handlowa w Warszawie. str. 272.

Klarner wypowiada się jako zwolennik ustroju kapitalistycznego, jednak stwierdza, że system wolno-konkurencyjny doprowadził do takiej nadprodukcji, iż żaden automatyzm gospodarczy temu nie zaradzi. Wyłania się więc konieczność gospodarki planowej pod kontrolą państwa, w ostatecznym wyniku nawet w skali światowej pod kontrolą instytucji międzynarodowej przy użyciu wszelkich godziwych środków, do jakich przedewszystkiem zalicza się skrócenie dnia pracy. — O gospodarce planowej. Czas pracy. Stany Zjednoczone. Anglja. Niemcy. Francja. Włochy. Wnioski z przeglądu gospodarczego. Polska. Fundusz pracy. — Książka zawiera 66 tablic i wykresów.

Krzesławski Jan. Józef Kwiatek (1874—1910). Warszawa, 1935. Nakł. Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Kwiatka, złożony z przedstawicieli Polskiej Partji Socjal., Stow. Byłych Więźniów Politycznych i Tow. Uniw. Robotniczego. str. 46.

Mysłakowski Zygmunt prof. Państwo a wychowanie. Warszawa, 1935. Nasza Księgarnia. str. 123.

1. Wychowanie państwowe a narodowe: Zasada narodowości. Odnawianie się mitów. Wychowanie w służbie idei narodowej. Przekazywanie wartości narodowych przez szkołę. Kilka słów o obłudzie w szkole. Zasada państwowości i jej wartość wychowawcza. 2. Mit przeszłości i mit przyszłości w idei ojczyzny. 3. Tradycja. 4. Zagadnienie mniejszości narodowych a wychowanie do państwowości. 5. Znaczenie badań nad środowiskiem dla wychowania do państwowości. 6. Państwo a siły społeczne.